

KS. GRZEGORZ KUNKO

**MOTYWY RELIGIJNE
W TRYLOGII
HENRYKA SIENKIEWICZA**

OGNIEM i MIECZEM
POTOP
PAN WOŁODYJOWSKI

**Sejny
Rok Henryka Sienkiewicza
2016**

Spis treści

Wstęp	3
Motywy religijne w powieści „Ogniem i mieczem”	4
Motywy religijne w powieści „Potop”	14
Motywy religijne w powieści „Pan Wołodyjowski	39

Wstęp

Na podstawie fragmentu artykułu Barbary Gruszki-Zych *Kłęknałem do pacierza*,
w: Gość Niedzielny 02/2016

Dominikanin o. Andrzej Bielat przytacza dotąd nie nagłaśniany list niespełna 20-letniego Henryka Sienkiewicza do Konrada Dobrowskiego z 16 grudnia 1865 roku. Przyszły noblista przyznaje się w nim do gwałtownego nawrócenia, które, jak się wydaje, promieniuje odtąd na jego twórczość: „(...) Nie z wyrozumowania, nie z żadnych wniosków filozoficznych, ale jakoś mimowiednie, jakoś z potrzeby klęknałem pewnego wieczora do nie mówionego od dwóch lat pacierza. Od tej chwili wierzę z całą siłą. Krótka ta modlitwa podziałała na mnie zbawiennie”. – To klęknięcie do pacierza przypomina słowa publicysty, krytyka i pisarza Karola Ludwika Konińskiego, że ludzie dziś nie tyle dzielą się na wierzących i niewierzących, ale raczej na tych, co się modlą i tych, co się nie modlą – podkreśla o. Bielat.

Ojciec Andrzej Bielat zajął się twórczością Sienkiewicza, pisząc swój doktorat: *„Ocalić Europę. Henryk Sienkiewicz jako apologeta chrześcijaństwa i obrońca cywilizacji łacińskiej”*.

MOTYWY RELIGIJNE
W
POWIEŚCI H. SIENKIEWICZA

„OGNIEM I MIECZEM”

Pierwsze wydanie: 1884 r.

Czas i miejsce akcji: lata 1648–1651

Polska w okresie powstania Chmielnickiego na Ukrainie

Ciche dźwięki ozwały się w komnacie, a do wtóru im kniaziówna (Helena) poczęła śpiewać „I w noc, i we dnie wołam do Cię, Panie! / Pofolguj męce i łzom żałośliwym, / Bądź mnie, grzesznemu, ojcem miłościwym, / Usłysz wołanie! / Wskażże mi drogę o Panie nad pany, / Bom jako pątnik na pustyń bezdrożu, / Lub jak wśród fali na niezmiernym morzu, / Korab zbłąkany”. Słodki głos jej brzmiał coraz silniej i z tą lutnią w rękę, z oczyma wzniesionymi do góry, była tak cudna (...).

A właśnie w chorągwi, w której pan Skrzetuski porucznikował, otwierał się wakans po panu Zakrzewskim, przezwiskiem *Miserere mei*, który od dwóch tygodni obłożnie chorował i był bez nadziei życia, bo mu się wszystkie rany od wilgoci pootwierały. Do trosk miłosnych namiestnika dołączył się jeszcze i smutek z grożącej straty starego towarzysza i doświadczonego przyjaciela; nie odstępował też po kilka godzin dziennie ani piędzą od jego wezgłowia, pocieszając go, jak umiał, i krzepiąc go nadzieją, że jeszcze niejedną wyprawę razem odbędą. Ale starzec nie potrzebował pociechy. Konał sobie wesoło na twardym łożu rycerskim obciągniętym końską skórą i z uśmiechem prawie dziecinnym spoglądał na krucyfiks zawieszony nad łożem, Skrzetuskiemu zaś odpowiadał:

— *Miserere mei*, mości poruczniku, już ja sobie idę po swoją lafę (żołd) niebieską. Ciało na mnie takie od ran dziurawe, że o to się tylko boję, czy święty Piotr, który jest marszałkiem bożym i ochędóstwa w niebie doglądać musi, puści mnie do rajku w tak podziurawionej sukni. Ale mu powiem: „Święty Pietruńku! zaklinam cię na ucho Malchusowe, nie czyńże mi wstrętu, boć to poganie tak mi popsowali szatki cielesne... *Miserere mei!* a będzie jaka wyprawa św. Michała na potencję piekielną, to się stary Zakrzewski przyda jeszcze.”

Więc porucznik, choć jako żołnierz tyle razy śmierć oglądał i sam ją zadawał, nie mógł łez wstrzymać słuchając tego starca, którego zgon do pogodnego zachodu słońca był podobny.(...) Aż jednego ranka zabrzmiały dzwony we wszystkich kościołach i cerkwiach łubniańskich zwiastujące śmierć pana Zakrzewskiego.(...) Ksiązę wyprawił wspaniały pogrzeb, chcąc uczcić zasługi zmarłego i okazać, jak się w ludziach rycerskich kocha. Asystowały więc w pochodzie żałobnym wszystkie regimenty stojące w Łubniach, na wałach bito z hakownic i rusznic. (...) Kondukt zatrzymał się naprzód u drzwi kościoła, gdzie ksiądz Jaskólski powitał trumnę mową poczynającą się od słów: „Gdzie tak spieszysz, mości Zakrzewski?” Potem przemawiało jeszcze kilku z towarzystwa, a między nimi i pan Skrzetuski, jako zwierzchnik i przyjaciel zmarłego. Następnie wniesiono ciało do kościoła i tu dopiero zabrał głos najwymowniejszy z wymownych: ksiądz jezuita Muchowiecki, który mówił tak górnio i ozdobnie, że sam ksiązę zapłakał.

Był to bowiem pan nadzwyczaj tkliwego serca i dla żołnierzków ojciec prawdziwy. Dyscypliny przestrzegał żelaznej, ale pod względem hojności, łaskawego traktowania ludzi i opieki, jaką otaczał nie tylko ich samych, ale ich dzieci i żony, nikt się z nim nie mógł porównać.

Wtedy ci, co wiedzieli o jego (Jan Skrzetuski) miłości dla Heleny, a prawie wszyscy już wiedzieli, przypomniawszy sobie, w jakim to właśnie są miejscu, spojrzawszy na czarne zgliszcza i siwe popioły zrozumieli wszystko.

— Od boleści się zapamiętał — szeptał jeden.

— Desperacja *mentem* mu pomieszała — dodał inny.

— Zaprowadźcie go do księcia. Może jak jego zobaczy, to się ocknie!

Pan Longinus ręce łamał. Wszyscy otoczyli kołem namiestnika i poglądali na niego ze współczuciem. Niektórzy obcierali łzy rękawicami, inni wzdychali żałośnie. Aż nagle z koła wysunęła się jakaś wyniosła postać i zbliżywszy się z wolna do namiestnika położyła mu na głowie obie ręce.

Był to ksiądz Muchowiecki.

Wszyscy umilkli i poklękali jakby w oczekiwaniu cudu, ale ksiądz cudu nie czynił, jeno wciąż trzymając ręce na głowie Skrzetuskiego podniósł oczy ku niebu pełnemu blasków miesięcznych i począł mówić głośno:

— *Pater noster, qui es in coelis! sanctificetur nomen Tuum, adveniat regnum Tuum, fiat voluntas Tua...*

Tu przerwał i po chwili powtórzył głośnie i uroczyściej:

— ...*Fiat voluntas Tua!*...

Cisza zapanowała głęboka.

— ...*Fiat voluntas Tua!*... — powtórzył ksiądz po raz trzeci.

Wtedy z ust Skrzetuskiego wyszedł głos niezmiernego bólu, ale i rezygnacji:

— *Sicut in coelo, et in terra!*

I rycerz rzucił się na ziemię ze szlochaniem.

Strasznych to czasów dożyliśmy, gdyż wojna domowa to ze wszystkiego złego najgorsze. Nie będzie kąta dla spokojnych ludzi. Lepiej mi było księdzem zostać, do czego miałem i powołanie, bom człek spokojny i wstrzemięźliwy, ale fortuna inaczej zrządziła. Mój Boże, mój Boże! Byłbym sobie teraz kanonikiem krakowskim i śpiewałbym godzinki w stallach, bo mam głos bardzo piękny. Ale cóż! Z młodu podobały mi się podwiki! Ho! ho! Nie uwierzysz waćpanna, jaki był ze mnie gładysz. A com się na którą spojrział, to jakby w nią piorun trzasł.

Spodziewał się też (Jan Skrzetuski), że Bóg, który nad niewinnością czuwa, Heleny nie opuści, a chcąc łaskę Jego tym bardziej dla niej zjednać, postanowił sam z grzechów się oczyścić. Wyszedł tedy z cekhauzu i szukał księdza Muchowieckiego, a znalazłszy go pocieszającego niewiasty, o spowiedź prosił. Ksiądz powiódł go do kaplicy, zaraz siadł do konfesjonułu i słuchać począł. Wysłuchawszy, naukę dawał, budował, w wierze utwierdzał, pocieszał i gromił. A gromił w ten sens, iż nie wolno jest chrześcijaninowi w moc Bożą wątpić, a obywatelowi więcej nad swym własnym niż nad ojczyzny nieszczęściem płakać, gdyż prywatnie to jest swego rodzaju mieć więcej łez dla siebie niż dla publiki — i więcej swego kochania żałować niż klęsk powszechnych. Po czym te klęski, ten upadek i hańbę ojczyzny w tak wzniosłych i żałośliwych wyraził słowach, że zaraz wielką miłość dla niej w sercu rycerza rozniecił, od której własne nieszczęścia tak mu zmały, że prawie ich dostrzec nie mógł. (...) Po czym go przeżegnał, pobłogosławił i wyszedł, krzyżem mu za pokutę do rana przed Chrystusem rozpiętym leżeć kazawszy. Kaplica była pusta i ciemna, jeno dwie świece migotały przed ołtarzem, kładąc blaski różowe i złote na twarz Chrystusa wykowaną z alabastru a pełną słodyczy i cierpienia. Godziny całe upływały, a namiestnik leżał bez ruchu niby martwy — ale też czuł coraz wyraźniej, że gorycz, rozpacz, nienawiść, ból, troski, cierpienie odwijają mu się od serca, wypełniają mu z piersi i pełzną jak węże, i kryją się gdzieś w ciemnościach. Uczuł, że lżej oddycha, że jakoby wstępuje w niego nowe zdrowie, nowe siły, że w głowie robi mu się jaśniej i błogość jakaś ogarnia — słowem, przed tym ołtarzem i przed tym Chrystusem znalazł wszystko, cokolwiek mógł znaleźć człowiek tamtych wieków, człowiek wiary niewzruszonej, bez śladu i cienia zwątpienia. Nazajutrz był też namiestnik jakby odrodzony.

Surmy po pułkach grały (w Łubniach), ale serca były ściśnięte. Każdy patrząc na owe mury myślał sobie w duszy: „Miły domie, zali cię zobaczę jeszcze w życiu?” Wyjechać łatwo (rycerstwo pod dowództwem księcia Jeremiego Wiśniowieckiego przeciw powstaniu Chmielnickiego), ale wrócić trudno. A przecie każdy część jakowąś duszy w tych miejscach zostawiał i pamięć słodką. Więc wszystkie oczy zwracały się po raz ostatni na zamek, na miasto, na wieże kościołów i kopuły cerkwi, i dachy domów. Każdy wiedział, co tu zostawiał, a nie wiedział, co go tam czekało w owej sonej dali, ku której dążył tabor... Żal więc był we wszystkich duszach.

Miasto wołało za odjeżdżającymi głosami dzwonów, jakby prosząc i zaklinając ze swej strony, by go nie opuszczano, nie wystawiano na niepewność, na złe losy przyszłe; wołało, jakby tym żalosnym dźwiękiem dzwonów chciało się żegnać i utrwalić w pamięci... Więc choć pochód oddalał się, głowy były ku miastu zwrócone, a we wszystkich obliczach czytałeś pytanie: — Zali nie ostatni raz? (...) Wtedy książę wy dobył szablę i wzniosłszy ją wraz z oczami ku niebu tak mówił: — Ja, Jeremi Wiśniowiecki, (...) przysięgam Tobie Boże w Trójcy świętej jedyny i Tobie Matko Najświętsza, jako podnosząc tę szablę przeciw hultajstwu, od którego ojczyzna jest pohańbiona, póty jej nie złożę, póki mi sił i życia stanie, póki hańby owej nie zmyję, każdego nieprzyjaciela do nóg Rzeczypospolitej nie zegnę (...). A jako ten ślub ze szczerego serca czynię, tak mi Panie Boże dopomóż — amen!

Każdy bowiem powtarzał: „Tatarzy tuż-tuż!” Jedni widzieli pożogi za sobą, inni klęli się na wszystkie świętości, iż przyszło im już odcinać się zagonom. Gromady otaczające żołnierzy słuchały z napięciem tych wieści. Dachy i wieże kościołów usiane były tysiącami ciekawych; dzwony były *larum*, a tłumy niewiast i dzieci dusiły się po kościołach, w których wśród świec jarzących błyszczał Przenajświętszy Sakrament.

Mówię (Jan Skrzetuski), że mi źle na świecie, bo tak jest, ale z wolą bożą dawno się pogodziłem. Nie proszę, nie jęczę, nie przeklinam, łbem o ścianę nie tłukę, chcę jeno spełnić, co do mnie należy, póki mi sił i życia staje. — Ale boleść jako trucizna trawi. — Bóg dał po to boleść, by trawiła, a lek ześle, kiedy sam zechce. W Bogu jedyny ratunek, w Bogu nadzieja dla nas i dla całej Rzeczypospolitej. Pojechał król do Częstochowy, może też u Najświętszej Panny co wskóra, inaczej zginiemy wszyscy.

Bóg ma swoje dziwne drogi — myślał Zagłoba — i tak potrafił wszystko powiązać, że z tego jest tryumf cnocie, a zawstydzenie nieprawościom.

Bili też z dział (obrona polskiej twierdzy pod Zbarażem przed armią kozacko-tatarską) — i kule gęsto poczęły padać do obozu, z którego odpowiadały oktawy i ręczna strzelba, a jednocześnie na wałach pojawiła się procesja z Najświętszym Sakramentem, aby otrzeźwić zdrętwiałe wojsko. Niósł ksiądz Muchowiecki złocistą monstrancję, trzymając ją obu rękoma powyżej twarzy, a czasem podnosząc w górę — i szedł z przymkniętymi oczyma i ascetyczną twarzą, spokojny, przybrany w lamową kapę i pod baldachimem. Przy nim szło dwóch księży, trzymając go pod łokcie: Jaskólski, kapelan husarski, czasu swego przesławny żołnierz, w sztuce wojennej jakby wódz jaki doświadczony, i Żabkowski, również ekswojskowy, olbrzymi bernardyn, siłą jednemu tylko panu Longinowi w całym obozie ustępujący. Drążki baldachimu niosło czterech szlachty, między którymi był i Zagłoba — przed baldachimem zaś postępowały dziewczątka o słodkich twarzach sypiące kwiaty. Szli tedy przez całą długość wałów, a za nimi starszyzna wojskowa; żołnierzom zaś na widok monstrancji błyszczącej, na kształt słońca, na widok spokoju księży i onych dziewczątek, przybranych w bieli, rosły serca, przybywała odwaga, zapal wstępował w dusze. Wiatr roznosił krzepiący zapach mirry palonej w trybularzach; głowy wszystkich pochylały się z pokorą. Muchowiecki od czasu do czasu wznosił monstrancję i oczy ku niebu — i intonował pieśń: „Przed tak wielkim Sakramentem”. Dwa potężne głosy Jaskólskiego i Żabkowskiego podchwytywały ją w lot dośpiewując: „upadajmy na twarzy” — a całe wojsko śpiewało dalej: „Niech ustąpią z testamentem nowym prawom już starzy!” Głęboki bas dział wtórował pieśni, a czasem kula armatnia przelatywała hucząc nad baldachimem i księżmi, czasem uderzywszy poniżej w wał zasypywała ich ziemią, aż pan Zagłoba kurczył się i przyciskał do drążka. Szczególniej strach chwycił go za włosy, gdy procesja dla modlitew stawała na miejscu. Wówczas trwało milczenie i kule słyhać było doskonale, lecące stadem jak wielkie ptaki; Zagłoba tylko się czerwienił coraz mocniej, a ksiądz Jaskólski zezował ku polu i nie mogąc wytrzymać, mruzczał: „Kury im sadzać, nie z dział bić!” — bo istotnie bardzo złych mieli puszkarzy Kozacy, a on, jako dawny żołnierz, nie mógł spokojnie na takową niezręczność i takie marnowanie prochu patrzeć. I znowu szli dalej — aż doszli do drugiego końca wałów, na które też nie było ze strony nieprzyjaciela nigdzie wielkiego nacisku.

Ażeby tak dać znać? — pytał Zagłoba. — Żeby się znalazł kto taki cnotliwy — rzekł starosta — kto by się przekraść podjął (z twierdzy w Zbarażu, przez obóz kozacko-tatarski, do króla Jana Kazimierza), ten by nieśmiertelną sławę za życia pozyskał, ten by był zbawcą całego wojska i od ojczyzny klęskę by odwrócił. Choćby i pospolite ruszenie jeszcze w całości nie stanęło, to może sama bliskość króla zdołałaby bunt rozproszyć. Ale kto pójdzie? Kto się podejmie, gdy Chmielnicki tak poobsadzał wszystkie drogi i wyjścia, że mysz się nie przeciśnie z okopu? Jawna i oczywista to śmierć taka impreza! (...) Pan Longinus zamyślił się głęboko, aż czoło pokryło mu się bruzdami, i cały czas siedział milczący. Nagle podniósł głowę i rzekł ze zwykłą sobie słodyczą: — Ja się podejmę przekraść przez Kozaków... Rycerze usłyszawszy te słowa porwali się zdumieni z miejsc, pan Zagłoba usta otworzył, Wołodyjowski zaczął ruszać wąsikami raz po raz, Skrzetuski przybladł, a starosta krasnostawski uderzył się po aksamicie i zakrzyknął: — Waćpan podjąłbyś się tego dokonać? — Czyś waść rozważył, co mówisz? — rzekł Skrzetuski. (...) — Dawno rozważyłem, bo już to nie od dziś między rycerstwem mówią, że trzeba dać znać królowi jegomości o naszym położeniu. A ja, słysząc to, myślałem sobie w duchu: niechby mnie Bóg najwyższy pozwolił ślub mój spełnić, zaraz bym poszedł. Ja, lichy człek, co ja znaczę? Co mnie będzie za szkoda, chociaż usieką po drodze? — Ależ usieką bez pochyby! — zawołał Zagłoba. — Słyszałeś waść, co pan starosta mówił, że to śmierć oczywista? — Tak i co z tego, brateńku? — rzekł pan Longinus. — Jak Bóg zechce, to przeprowadzi, a nie, to w niebie nagrodzi. — Ale pierwej cię pochwyca, mękami zmorzą i śmierć okrutną zadadzą. Człeku, czyś rozum stracił? — mówił Zagłoba. (...) — A taki pójdę, brateńku — odrzekł pan Longinus. (...) — Dziś wieczór po szturmie, jeżeli noc będzie ciemna — dodał książę. — Listów żadnych do króla nie dam; co waść widzisz, to opowiesz. Weźmiesz jeno sygnet na znak. Podbipięta przyjął sygnet i pokłonił się księciu, ten zaś wziął go obu rękoma za skronie i trzymał czas jakiś, a potem ucałował po kilkakroć w głowę i rzekł wzruszonym głosem: — Tak mi bliski jesteś serca, jak brat... Niech cię prowadzi i przeprowadzi Bóg zastępów i nasza Królowa Anielska, żołnierzu boży! Amen! (...) — Muszę waszmościów pożegnać — rzekł pan Longinus. — Jak to? Gdzie idziesz? — pytał Zagłoba. — Do księdza Muchowieckiego, do spowiedzi, braciaszku. Trzeba grzeszną duszę oczyścić. To rzekłszy pan Longinus poszedł spieszenie ku zamkowi, oni zaś zwrócili się ku wałom. (...) Posiedźmy trochę u wałów, a później pójdziemy do zamku, żeby się naszego przyjaciela kompanią przynajmniej do wieczora nacieszyć. Ale pan Podbipięta po spowiedzi i komunii cały czas spędził na modlitwie; zjawił się dopiero wieczorem na szturm, który był jednym z najokropniejszych (...).

To już czas! — rzekł Longinus. — Czas! czas! — powtórzył Skrzetuski stłumionym głosem. — Idź z Bogiem. — Bądźcie, bracia, zdrowi, a przebaczcie, jeżeli komu w czym zawinił. — Tyś zawinił? O Boże! — zawołał Zagłoba rzucając mu się w ramiona. Po kolei brali go Skrzetuski i Wołodyjowski. Nadeszła chwila, że tłumione łkanie wstrząsnęło te rycerskie piersi. Jeden tylko pan Longinus był spokojny, choć wzruszony. — Bądźcie zdrowi! — powtórzył raz jeszcze. I zbliżywszy się do brzegu wału zsunął się w fosę, po chwili zaczerniał na drugim jej brzegu, raz jeszcze dał znak pożegnania towarzyszom — i znikł w ciemności. (...) On czołgał się ciągle, modląc się jednocześnie — w obronę z ciałem i duszą mocom niebieskim się oddając. Pomyślał, że może los całego Zbaraża zależy w tej chwili od tego, czy on się teraz przez ową gardziel przedostanie, więc modlił się nie tylko za siebie — ale i za tych, którzy w tej chwili na okopie modlili się za niego. (...) — Sznurów, sznurów! — zabrzmiał jakiś głos. Wnet jezdni kopnęli się po sznury i przywieźli je w mgnieniu oka. Wówczas po kilkunastu tęgich chłopów chwyciło za dwa końce długiego powroza, starając się przykrępować pana Longina do drzewa. Ale pan Longin ciął mieczem — i chłopci z obu stron padli na ziemię. Z tym samym skutkiem próbowali następnie Tatarzy. (...) Nadludzka siła pana Podbipięty zdawała się wzrastać jeszcze z każdą chwilą. Widząc to rozwścieczona orda spędziła Kozaków i naokół rozległy się dzikie wołania: — Uk! uk!... Wówczas na widok łuków i strzał wysypywanych z kołczanów pod nogi poznał i pan Podbipięta, że zbliża się godzina śmierci, i rozpoczął litanię do Najświętszej Panny. Uczyniło się cicho. Tłumy zatrzymały dech, oczekując, co się stanie. Pierwsza strzała świstnęła, gdy pan Longinus mówił: „Matko Odkupiciela!” — i obtarła mu skroń. Druga strzała świstnęła, gdy pan Longinus mówił: „Panno wstawiona!” — i utkwiała mu w ramieniu. Słowa litanii zmieszały się ze świstem strzał. I gdy pan Longinus powiedział: „Gwiazdo zaranna!” — już strzały tkwiły mu w ramionach, w boku, w nogach... Krew ze skroni zalewała mu oczy i widział już — jak przez mgłę — łąkę, Tatarów, nie słyszał już świstu strzał. Czuł, że słabnie, że nogi chwieją się pod nim, głowa opada mu na piersi... na koniec ukląkł. Potem, na wpół już z jękiem, powiedział pan Longinus: „Królowo Anielska!” — i to były jego ostatnie słowa na ziemi. Aniołowie niebiescy wzięli jego duszę i położyli ją jako perłę jasną u nóg „Królowej Anielskiej”.

Nagle pan Michał (czuwający na wałach twierdzy w Zbarażu) urwał rachubę. — Co to jest? — spytał dziwnym głosem. — Gdzie? — Tam, na tej najwyższej... człowiek wisi! Zagłoba wyteżył wzrok; istotnie na najwyższej maszynie słońce oświeciło nagi trup ludzki kołyszący się na powrozie, zgodnie z ruchem beluardy, na kształt olbrzymiego wahadła. — Prawda — rzekł Zagłoba. Wtem Wołodyjowski pobladł jak płótno i krzyknął przeraźliwym głosem — Boże wszechmogący!... to Podbipięta! Szmer powstał na wałach, jakoby wiatr przeleciał po liściach drzew. Zagłoba przechylił głowę, zatknął dłońmi oczy i powtarzał zsiniałymi wargami, jęcząc: — Jezus Maria! Jezus Maria!... Wtem szmer zmienił się w szum zmieszanych słów, a potem w huk jakby wzburzonej fali. Poznało wojsko stojące na wałach, że na tym haniebnym sznurze wisi towarzysz ich niedoli, rycerz bez skazy — poznali wszyscy, że to pan Longinus Podbipięta, i gniew straszny począł podnosić włosy na głowach żołnierzy. (...) Po czym żołnierze weszli na beluardę i odczepiwszy pana Longina, ostrożnie spuścili go na ziemię. Zagłoba runął na jego ciało... Wołodyjowski również serce miał rozdarte i zalewał się łzami na widok martwego przyjaciela. Łatwo było poznać, jaką pan Longinus zginął śmiercią, bo całe ciało było pokryte cętkami od ran przez groty zadanych. Twarzy tylko nie popsuły mu strzały prócz jednej, która zostawiła długą rysę na skroni. Kilka kropel czerwonej krwi zakrzepło mu na policzku, oczy miał zamknięte, a w bladym obliczu uśmiech pogodny, i gdyby nie bladość błękitna oblicza, gdyby nie chłód śmierci w rysach — zdawać by się mogło, że pan Longinus śpi spokojnie. Wzięli go wreszcie towarzysze i ponieśli na barkach do okopu, a stamtąd do kaplicy zamkowej. Do wieczora zbito trumnę i pogrzeb odbył się nocą na cmentarzu zbaraskim. Stańło wszystkie duchowieństwo ze Zbaraża prócz księdza Żabkowskiego, który w ostatnim szturmie w krzyże postrzelon bliskim był śmierci; przyszedł książę (...) i towarzystwo chorągwi, w której nieboszczyk służył. Ustawiono trumnę nad świeżo wykopanym dołem — i ceremonia się rozpoczęła. Noc była cicha, gwiazdzista; pochodnie paliły się równym płomieniem, rzucając blask na żółte deski świeżo zbitej trumny, na postać księdza i surowe twarze stojących wokoło rycerzy. Dymy z kadzielnicy wznosiły się spokojnie, roznosząc zapach mirry i jałowcu; ciszę przerywało tylko tłumione szlochanie pana Zagłoby, głębokie westchnienia potężnych piersi rycerskich i daleki grzmot wystrzałów na wałach. Lecz ksiądz Muchowiecki wznosił rękę na znak, iż poczyna mówić, więc rycerze oddech wstrzymali, on zaś milczał jeszcze chwilę, potem utkwiał oczy w gwiazdzistych wysokościach i tak wreszcie mówić począł: — Co to tam za stukanie słyszę po nocy w niebieskie podwoje? — pyta sędziwy klucznik Chrystusowy, ze smacznego snu się zrywając — Otwórz, święty Pietrze, otwórz! jam Podbipięta. — Lecz jakież to uczynki, jakaż to szarża, jakie to zasługi ośmielają cię, mości Podbipięto, tak zacnego furtiana inkomodować?

Jakimże to prawem chcesz wejść tam, dokąd ni urodzenie, chociażby tak zacne jak twoje, ni senatorska godność, ni urzędy koronne, ni majestatu nawet purpury jeszcze same przez się wolnego wstępu nie dają? Dokąd nie gościńcem szerokim, w poszóstnej karecie, z hajdukami się jedzie, ale stromą, ciernistą drogą cnoty wspinać się trzeba? — Ach! otwórz, święty Pietrze, otwórz co prędzej, bo właśnie taką stromą ścieżyną szedł komiliton i drogi towarzyszy nasz, pan Podbipięta — aż wreszcie przyszedł do ciebie jako gołąb po długim locie utrudzon, przyszedł nagi jako Łazarz, przyszedł jako święty Sebastian strzałami pogańskimi podarty, jak Hiob biedny, jako dziewczeczka, która męża nie zaznała, czysty, jako baranek pokorny, cierpliwy i cichy — bez zmazy grzechowej z ofiarą krwi dla ziemskiej ojczyzny radośnie przelanej. Puść go, święty Pietrze, bo jeżeli jego nie puścisz — kogoż puścisz w tych czasach zepsucia i bezbożności? Puśćże go, święty kluczniku! puść tego baranka; niechaj się pasie na niebieskiej łące, niech szczypie trawę, bo głodny przyszedł ze Zbaraża... W taki to sposób rozpoczął mowę ksiądz Muchowiecki, a następnie tak wymownie odmalował cały żywot pana Longina, iż każdy lichym się sobie wydał wobec tej cichej trumny rycerza bez skazy, który najmniejszych skromnością, największych cnotą przenosił. Bili się tedy w piersi wszyscy i coraz większa ogarniała ich żalność, i coraz jaśniej widzieli, jaki to paroksyzm ojczyznę, jaka niepowetowana strata Zbaraż dotknęła. A ksiądz unosił się i gdy wreszcie począł opowiadać wyjście i śmierć męczeńską pana Longina, wtedy już całkiem o retoryce i cytatach zapomniał, a gdy począł żegnać martwe zwłoki imieniem duchowieństwa, wodzów i wojska, sam się rozplakał i mówił szlochając jak Zagłoba: — Żegnaj nam, bracie, żegnaj, towarzyszu! Nie do ziemskiego króla, lecz do niebieskiego, do pewniejszej instancji odniosłeś nasze jęki, nasz głód, naszą mizerię i opresję — pewniej tam jeszcze ratunek nam wyjednasz, ale sam nie wrócisz więcej, więc płaczemy, więc łzami trumnę twą polewamy, bośmy cię kochali, bracie najmilszy! Płakali za zacnym księdzem wszyscy: i książę, i regimentarze, i wojsko, a najbardziej przyjaciele zmarłego. Lecz gdy ksiądz zaintonował po raz pierwszy: *Requiem aeternam dona ei, Domine!* — uczynił się ryk powszechny, choć to wszystko byli ludzie zahartowani na śmierć i codzienną praktyką od dawna do niej przywykli. W chwili gdy trumnę położono na sznurach, pana Zagłobę trudno było od niej oderwać, jakby mu brat albo ojciec umarł. Lecz wreszcie odciągnęli go Skrzetuski z Wołodyjowskim. Książę zbliżył się i wziął garść ziemi; ksiądz począł mówić: „*Anima eius*” (dusza jego) — zahurkotały sznury — ziemia poczęła się sypać, sypano ją rękoma, hełmami... i wkrótce nad zwłokami pana Longina Podbipięty urósł wysoki kopiec, który oświeciło białe, smutne światło miesiąca.

MOTYWY RELIGIJNE
W
POWIEŚCI H. SIENKIEWICZA

„POTOP”

Pierwsze wydanie: 1886 r.

Czas i miejsce akcji: lata 1655–1660
Polska w okresie potopu szwedzkiego

Za wspólną zgodą postanowiliśmy (ojciec Andrzeja Kmicica i dziadek Aleksandry Billewiczówny) obyczajem dawnym szlacheckim i chrześcijańskim, że (...) syn jego Andrzej z wnuczką moją Aleksandrą, łowczanką, stadło uczynić mają, aby z nich potomstwo na chwałę bożą i pożytek Rzeczypospolitej wyrosło.

Wszelako, jeśliby za szczególną łaską Boga wnuczka moja (Aleksandra) chciała na chwałę Jego (Boga) panieństwo swe ofiarować i zakonny habit przywdziać, tedy wolno jej to uczynić, albowiem chwała boża przed ludzką iść powinna.

Pewnego wieczora siedziała panna Aleksandra w izbie czeladnej wraz z dziewczętami dworskimi. Dawny to był zwyczaj Billewiczów, że gdy gości nie było, to z czeladzią spędzali wieczory śpiewając pieśni pobożne (...).

Ijechał na przedzie (Kmicic), nic do nikogo nie mówiąc. W sercu nurtował mu żal, chwilami gniew, ale przede wszystkim złość na samego siebie. Pierwsza to była noc w jego życiu, w której czynił rachunek sumienia i rachunek ten ciążył mu gorzej od najcięższego pancerza. Oto przyjechał w te strony z nadszarpniętą reputacją i cóż uczynił, aby ją poprawić?

Rekuć, Rekuć! – wołał – to ja, Kmicic! ... Za powiekami zaczęła drgać i twarz, oczy i usta otwierały się i zamykały na przemian. To ja! – rzekł Kmicic. Oczy Rekuć otworzyły się na chwilę zupełnie – poznał twarz przyjaciela i jęknął z cicha: Jędrus! ... księdza! (...). Po czym Rekuć wyprężył się, zeszywniał, otwarte oczy stanęły mu w słup – i skonał.

Wołmontowicze się palą! W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! Strzały aż tu słyhać, tam bitwa! Boże, zmiłuj się nad nami! Oleńka krzyknęła strasznie, po czym wyskoczyła z łóżka i poczęła spieszenie szaty narzucać. (...) Po chwili wpadły rozbudzone niewiasty z całego domu z płaczem i szlochaniem. Oleńka rzuciła się na kolana przed obrazem, one poszły za jej przykładem i wszystkie poczęły odmawiać głośno litanie za konających.

Właściwie, to ja jestem Jerzy Michał (Wołodyjowski), ale że święty Jerzy smoka tylko roztratował, a święty Michał całemu komunikowi niebieskiemu przewodzi i tyle już nad piekielnymi chorągwiami odniósł wiktoryj, przeto jego wolę mieć za patrona.

Niebożęta! – mówił Kmicic, idąc za swoją myślą (o zabitych kompanach) – gdy teraz oto w gorączce leżał, co wieczora wchodzili tymi oto drzwiami z tamtej izby ... Widziałem ich koło łoża, jak na jawie, sinych, zabitych, a ciągle jęczeli: „Jedruś! Daj na mszę za nasze dusze, bo męki cierpimy!” To mówię waści, włosy mi na głowie powstawały, bo i siarką od nich w izbie pachniało ... Na mszę już dałem, oby im to co pomogło!

Wgłowie mi (Kmicicowi) się takie szczęście nie mieści, żeby ona (Aleksandra) mnie jeszcze chciała.

-Powiedziałem (Wołodyjowski), że waćpana miłuje, nie powiedziałem, że cię zechce ... To wcale co innego.

-Jeśli mnie nie zechce, to sobie ten łeb o ścianę rozbiję. Nie może inaczej być.

-Mogłoby być, gdybyś waćpan miał szczerą intencję zmazania win. Teraz wojna, możesz iść, możesz posługi znaczne milej ojczyźnie oddać, męstwem się wślawić, reputację polatać. Któż to jest bez grzechu? Kto nie ma win na sumieniu? Każdy ma ... Ale do pokuty i poprawy każdemu otwarta droga. Wać grzeszyłeś swawolą, to jej odtąd unikaj; grzeszyłeś przeciw ojczyźnie, zamieszki w czasie wojennym czyniąc, to ją teraz ratuj; czyniłeś krzywdy ludziom, to je nagródź ... Ot, droga dla waszmości lepsza i pewniejsza niż rozbijanie sobie łba (...) Jeśli więc waćpana na dobrą drogę namówię, to będzie także moja względem ojczyzny zasługa, boś żołnierz dobry i doświadczony.

Panie! Boże wszechmogący! Czemuś to tak tę nieszczęsną Rzeczpospolitą rozgrodził, że wszystkie świny sąsiedzkie (państwa atakujące Rzeczpospolitą) włożą do niej teraz (...)? Ale któż temu winien, jeśli nie zdrajcy?

Miłosierdzie boskie większe od ludzkiej złości, a Jego ręka wszechmocna może nas z toni wyrwać właśnie wtedy, kiedy się najmniej będziemy spodziewali. (...) Chce się jeszcze ojczyźnie posłużyć, byle Pan Bóg dał wreszcie wodza, nie zdrajcę, ale takiego, któremu by człowiek mógł całym sercem i całą duszą zaufać.

Sianem się, kpie, chcesz wywinąć od pracy i pokuty! Tak to mówiło w panu Kmicicu sumienie, a pan Kmicic wiedział, że ma słuszność i złość go brała, i żał jakiś do własnego sumienia, że taką gorzką mówiło prawdę. Co ja pocznę? – rzekł wreszcie – kto mi poradzi, kto mnie wyratuje? Tu kolana poczęły się giąć jakoś pod panem Andrzejem (Kmicicem), aż wreszcie ukląkł przy tapczanie i począł się modlić głośno, i prosić z całej duszy i serca: Jezu Chryste, Panie miły – mówił – jakoś się na krzyżu nad łotrem ulitował, tak ulituj się i nade mną. Oto pragnę obmyć się z grzechów moich, nowy żywot rozpocząć i ojczyźnie pocziwie służyć, ale nie wiem jak, bom głupi. (...) Oświeć mnie, natchnij, pociesz w desperacji mojej i ratuj w miłosierdziu swoim, bo zginę. Tu głos zadrgał panu Andrzejowi, począł się bić w pierś szeroką, aż grzmiało w izbie i powtarzać: Bądź miłościw mnie grzesznemu! Bądź miłościw mnie grzesznemu! Bądź miłościw mnie grzesznemu! Po czym złożywszy ręce i wyciągnawszy je do góry, tak dalej mówił: A Ty, Panienko Najświętsza (...) wstaw się za mną do Syna swego, zstąp ku ratunkowi memu, nie opuszczaj mnie w utrapieniu i biedzie mojej, abym Tobie mógł służyć (...) i w godzinę skonania mieć Cię za patronkę przy nieszczęsnej duszy mojej! A gdy tak błagał pan Kmicic, łzy poczęły mu padać jak groch z oczu, na koniec spuścił głowę na tapczan i trwał w milczeniu, jakby czekając na skutek swej żarliwej modlitwy.

(Wyprawa Kmicica na Jasną Górę)

Zaledwie pierwszy brzask rozpraszał ciemności; dzień zapowiadał się pogodnie; chmury pozbijały się w długie taśmy i pasma na zachodzie, ale wschód był czysty; na blednym zwolna niebie migotały niepoprzesłaniane oparami gwiazdy. Kmicic zbudził ludzi, sam przybrał się w świąteczne suknie, bo nadchodziła właśnie niedziela, i ruszyli w drogę.

Po złej, bezsennej nocy był Kmicic znużony na ciele i duszy.

Ani ów ranek jesienny, blady, ale rzeźwy, szronisty i pogodny, nie mógł rozproszyć smutku gniotącego serce rycerza. Nadzieja wypaliła się w nim do ostatniego źdźbła i zgasła jak lampa, w której oliwy zabrakło. Co mu przyniesie ten dzień? Nic! Te same smutki, to samo utrapienie, prędzej przyrzuci ciężaru na duszę, z pewnością nie ujmie.

Jechał więc w milczeniu utkwivszy oczy w jakiś punkt bardzo błyszczący na widnokręgu. Konie parskwały na pogodę; ludzie poczęli śpiewać sennymi głosami jutrznię.

Tymczasem rozwidniało się coraz bardziej, niebo z bladego stawało się zielone i złote, a ów punkt na widnokręgu począł tak błyszczeć, że oczy mrużyły się od tego blasku.

(Wyprawa Kmicica na Jasną Górę)

Ludzie przestali śpiewać i wszyscy patrzyli w tamtą stronę, wreszcie Soroka rzekł: - Dziwo czy co?... Toć tam zachód, a jakby słońce wschodziło? Istotnie, owo światło rosło w oczach, z punktu uczyniło się kołem, z koła koliskiem - z dala rzekłbyś, że ktoś zawiesił nad ziemią olbrzymią gwiazdę siejącą blaski niezmiernie.

Kmicic i jego ludzie patrzyli ze zdumieniem na owo zjawisko świetliste, drgające, promienne, nie wiedząc, co mają przed oczyma.

Wtem od Kruszyny chłop nadszedł w drabinkach. Kmicic zwróciwszy się ku niemu ujrzał, iż chłop czapkę trzymał w ręku i patrząc w owo światło modlił się.

- Chłopie? - spytał pan Andrzej - a co się to tak świeci?

- Kościół jasnogórski! - odrzekł kmicic.

- Chwała Najświętszej Pannie! - zakrzyknął Kmicic i czapkę zdjął z głowy, za nim uczynili toż samo jego ludzie.

Po tylu dniach zmartwień, zwątpienia i zawodów uczuł nagle pan Andrzej, że staje się z nim coś dziwnego. Ledwie słowa: "Kościół jasnogórski!", przebrzmiały mu w uszach, gdy smutek opadł z niego, jakoby kto ręką odjął. Ogarnęła rycerza jakaś niewypowiedziana bojaźń, pełna czci, ale zarazem nieznaną radość, wielką, błogą. Od tego kościoła, jarzącego się na wysokości w pierwszych promieniach słońca, biła nadzieja, której pan Kmicic dawno nie zaznał, otucha, której na próżno szukał, siła niepokonana, na której chciał się oprzeć. Wstąpiło weń jakoby nowe życie i poczęło krążyć po żyłach wraz ze krwią. Odetchnął tak głęboko, jak chory budzący się z gorączki, z nieprzytomności.

A kościół lśnił się coraz bardziej, jakby wszystko światło słoneczne w siebie zabrał. Cała kraina leżała u jego stóp, a on patrzył na nią z wysokości, rzekłbyś: stróż jej i opiekun.

Kmicic długo oczu nie mógł oderwać od tego światła i nasycił się jego widokiem. Ludzie jego mieli twarze poważne i przejęte obawą.

Wtem odgłos dzwonu rozległ się w cichym rannym powietrzu.

- Z koni! - zawołał pan Andrzej.

Zeskoczyli wszyscy z kulbak i klękawszy na drodze, rozpoczęli litanie. Kmicic ją odmawiał, a żołnierze odpowiadali chórem. Nadszedły przez ten czas nowe wozy; chłopci, widząc modlących się na drodze ludzi, przyłączyli się do nich i coraz większa czyniła się gromada.

(Wyprawa Kmicica na Jasną Górę)

Gdy wreszcie skończono modlitwy, powstał pan Andrzej, a za nim i jego ludzie, lecz szli już dalej piechotą, prowadząc konie za uzdy i śpiewając: "Witajcie, jasne podwoje..."

Pan Andrzej szedł tak rzeźwy, jakby skrzydła miał u ramion. W skrętach drogi kościół to niknął, to ukazywał się na przemian. Gdy przesłoniły go wyniosłości lub parowy, zdawało się Kmicicowi, że ciemność świat ogarnia, lecz gdy znowu rozblyskał, wówczas rozpromieniały się i wszystkie twarze.

Tak szli długo. Kościół, klasztor i otaczające go mury widniały coraz wyraźniej, stawały się coraz wspanialsze, ogromniejsze. Dojrzeli wreszcie i miasto w dali, a pod górą całe szeregi domów i chat, które przy ogromie kościelnym wydawały się tak małe jako gniazda ptasie.

Była to niedziela, więc gdy słońce wybiło się już dobrze w górę, droga zarośla się wozami i pieszym ludem ciągnącym na nabożeństwo. Z wysokich wież poczęły huczeć dzwony większe i mniejsze napełniając powietrze wspaniałym dźwiękiem. Była w tym widoku i w tych głosach spiżowych jakaś potęga, jakiś niezmierny majestat, a zarazem i spokój. Ten szmat ziemi u stóp Jasnej Góry wcale był niepodobny do reszty kraju.

Tłumy ludu czerniały naokół murów kościelnych. Pod górą stały setki wozów, bryczek, kolasek, bid; gwar ludzki mieszał się ze rzeniem koni poprzywiązywanych do palików. Dalej na prawo, wedle głównej drogi prowadzącej na górę, widać było całe szeregi straganów, w których sprzedawano wota metalowe i woskowe, świece, obrazy, szkaplerze. Fala ludzka płynęła wszędy swobodnie.

(Kmicic przy bramie klasztoru jasnogórskiego)

Bramy (klasztoru jasnogórskiego) były szeroko otwarte, kto chciał, wchodził, kto chciał, wychodził; na murach, przy działach, zgoła nie było żołnierzy. Strzegła widocznie kościoła i klasztoru sama świętość miejsca - a może ufano listom Karola Gustawa (król szwedzki planujący atak na Jasną Górę), którymi bezpieczeństwo zaręczył.

Od bramy fortecznej chłopci i szlachta, mieszczenie z różnych okolic, ludzie wszelkiego wieku, obojej płci i wszystkich stanów, czołgali się ku kościołowi na kolanach, śpiewając pieśni pobożne. Płynęła ta rzeka bardzo wolno i bieg jej zatrzymywał się co chwila, gdy ciała zbiły się zbyt ciasno. Chorągwie wiały nad nią na kształt tęczy. Chwilami pieśni milkły i tłumy poczynwały odmawiać litanie, a wówczas grzmot słów rozlegał się z jednego końca w drugi.

Między pieśnią a pieśnią, między litanią a litanią tłumy milkły i biły czołem w ziemię lub rzucały się krzyżem; słyhać było tylko głosy błagalne i przeraźliwe żebraków, którzy siedząc po dwóch brzegach rzeki ludzkiej, odslaniali na widok publiczny swe skaleczałe członki. Wycie ich mieszało się z brzękiem grosiwa wrzucanego do blaszanych i drewnianych mis. I znowu rzeka głów toczyła się dalej, i znowu brzmiały pieśni.

W miarę jak fala zbliżała się do drzwi kościoła, zapal wzrastał i zmieniał się w uniesienie. Widziałeś ręce wyciągnięte ku niebu, oczy wzniesione, twarze blade ze wzruszenia lub rozpalone modlitwą.

Różnice stanu znikły: chłopskie sukmany mieszały się z kontuszami, żołnierskie kolety z żółtymi kapotami mieszczan.

(Kmicic przy drzwiach kościoła na Jasnej Górze)

We drzwiach kościoła ścisk powiększył się jeszcze. Ciała ludzkie utworzyły już nie rzekę, ale most tak zbity, iż można by było przejść po głowach, ramionach, nie dotknąwszy stopą ziemi. Piersiom brakło oddechu, ciałom przestrzeni, lecz duch, który je ożywiał, dawał im żelazną odporność. Każdy się modlił, nikt nie myślał o niczym innym; każdy dźwigał na sobie tłok i ciężar całej tej masy, lecz nikt nie upadał i popychany przez tysiące, czuł w sobie siłę za tysiące, i z tą siłą parł naprzód, pogrążon w modlitwie, w upojeniu, w egzaltacji.

(Kmicic w kaplicy Cudownego Obrazu Matki Bożej)

Kmicic, czołgający się ze swymi ludźmi w pierwszych szeregach, dostał się wraz z pierwszymi do kościoła, potem prąd wniósł go do cudownej kaplicy, gdzie tłumy rzuciły się na twarz, płacząc, obejmując rękoma posadzkę i całując ją z uniesieniem. Tak czynił i pan Andrzej, a gdy wreszcie ośmielił się podnieść głowę, uczucie rozkoszy, szczęścia i zarazem śmiertelnej obawy odjęło mu prawie przytomność.

W kaplicy panował mrok czerwony, którego nie rozpraszały zupełnie płomyki świec jarzących się przed ołtarzem. Barwne światła wpadały także przez szyby, i wszystkie one blaski czerwone, fioletowe, złote, ogniste drgały na ścianach, ślizgały się po rzeźbach, załamaniach, przedzierały się w zaciemnione głębie, wydobywając na jaw jakieś niewyraźne przedmioty pogrążone jakoby we śnie. Tajemnicze połyski rozbierały się i skupiały z mrokiem tak nieznacznie, że nikła wszelka różnica między światłem a cieniem. Świece na ołtarzu miały glorie złote.

Dymy z kadzielnic tworzyły mgłę purpurową; biały ornat zakonnika, odprawiającego ofiarę; grał przyćmionymi kolorami tęczy. Wszystko tu było półwidne, półprzesłonięte, nieziemskie: blaski nieziemskie, mroki nieziemskie - tajemnicze, uroczyste, błogosławione, przepełnione modlitwą, adoracją, świętością... Z głównej nawy kościoła dochodził szum zmieszany głosów ludzkich, jak ogromny szum morza, a tu panowała cisza głęboka, przerywana tylko głosem zakonnika śpiewającego wotywę.

Obraz jeszcze był przysłonięty, więc oczekiwanie tłumiło dech w piersiach. Widać tylko było oczy wpatrzone w jedną stronę, nieruchome twarze, jakoby już z ziemskim życiem rozbratane, ręce złożone przed ustami, jak u aniołów na obrazach. Śpiewowi zakonnika wtórowały organy wydając tony łagodne, a słodkie, płynące jakoby z fletni zaziemskich. Chwilami zdawały się one sączyć jak woda w źródle, to znów padały ciche a gęste, jak rześisty deszcz majowy.

Wtem huknął grzmot trąb i kotłów - dreszcz przebiegł serca. Zasłona obrazu rozsunała się w dwie strony i potok brylantowego światła lunął z góry na pobożnych. Jęki, płacz i krzyki rozległy się w kaplicy.

- Salve Regina! - zawrzała szlachta - monstra Te esse matrem! - a chłopci wołali: - Panienko Najświętsza! Panno Złota! Królowo Anielska! ratuj, wspomóż, pociesz, zmiłuj się nad nami!

I długo brzmiały te okrzyki wraz ze szlochaniem niewiast, ze skargami nieszczęśliwych, z prośbami o cud chorych lub kalek.

Z Kmicica dusza nieomal wyszła; czuł tylko, że ma przed sobą niezmierność, której nie pojmie i nie ogarnie, a wobec której wszystko niknie. Czymże były zwątpienia wobec tej ufności, której cała istność nie mogła pomieścić; czym niedola wobec tej pociechy; czym potęga szwedzka wobec takiej obrony; czym ludzka złość wobec takiego patronatu?... Tu myśli w nim ustały i zmieniły się w czucia same; zapomniał się, zapamiętał, przestał rozeznawać, kim jest, gdzie jest... Zdawało mu się, że umarł, że dusza jego leci z głosami organów, mięsza się z dymami kadzielnic; ręce, przywykłe do miecza i rozlewu krwi, wyciągnął do góry i klęczał w upojeniu, w zachwycie.

Tymczasem ofiara kończyła się. Pan Andrzej sam nie wiedział, jakim sposobem znalazł się wreszcie znowu w głównej nawie kościelnej. Ksiądz prawił naukę z kazalnicy, ale Kmicic długo jeszcze nic nie słyszał, nic nie rozumiał, jak człowiek zbudzony ze snu nie od razu miarkuje, gdzie kończy się sen, a rozpoczyna jawa.

Pierwsze słowa, jakie usłyszał, były: "Tu się odmienią serca i dusze naprawią, ani bowiem Szwed mocy tej nie zmoże, ani w ciemnościach brodzący prawdziwego światła nie zwyciężą!". "Amen!" - rzekł w duchu Kmicic i począł się bić w piersi, bo mu się teraz zdawało, że grzeszył ciężko, sądząc, że już wszystko przepadło i że znikąd nie masz nadziei.

Nie własną siłą on (król szwedzki) tę Rzeczpospolitą podbił, sami jej synowie do tego mu dopomogli; ale jakkolwiek naród nasz (polski) nisko upadł, jakkolwiek w grzechu brodzi, to przecie i w grzechu samym jest pewna granica, której nie śmiałyby przestąpić. Pana swego opuścił, Rzeczypospolitej odstąpił, ale matki swej, Patronki i Królowej, czcić nie zaniechał. Szydzi z nas i pogardza nami nieprzyjaciel pytając, co nam z dawnych cnót pozostało. A ja odpowiem: wszystkie zginęły, jednak coś jeszcze pozostało, bo pozostała wiara i cześć dla Najświętszej Panny, na którym to fundamencie reszta odbudowaną być może. I widzę to jasno, że niechby jedna kula szwedzka wyszczerbiła te święte mury, tedyby się najzatwardzialszy odwrócili od Szwedów, z przyjaciół staliby się wrogami, przeciw nim miecze by podnieśli.

(Kmicic na Jasnej Górze pokazując drogocenne ozdoby)

Chciałem to Najświętszej Pannie ofiarować... ale dopiero po spowiedzi... z czystym sercem!...

Dziwnie szatan jest na to miejsce (Jasna Góra) zawzięty i dokłada wszelkich starań, aby nabożeństwu tu przeszkodzić i wiernych jak najmniej do udziału w nim dopuścić, bo nic do takiej desperacji piekielnego dworu nie przywodzi, jak widok czci dla Tej, która głowę węża starła... A teraz czas na nieszpór. Wybłagajmy Jej łaskę, polećmy się Jej opiece i niech każdy pójdzie spać spokojnie, bo gdzież ma być spokój i bezpieczeństwo, jeśli nie pod Jej skrzydłami? I rozeszli się wszyscy. Gdy nieszpór się skończył, sam ksiądz Kordecki wziął do spowiedzi pana Andrzeja i spowiadał go długo w pustym już kościele; po czym leżał pan Andrzej krzyżem przed zamkniętymi drzwiami kaplicy aż do północy.

(Obrona Jasnej Góry przed atakiem armii szwedzkiej)

Chcemy na załogę iść do klasztoru (jasnogórskiego), Bogarodzicielki bronić! - wołali mężczyźni potrząsając cepami, widłami i inną bronią wieśniaczą.

- Chcemy na Najświętszą Pannę ostatni raz popatrzeć! - jęczały niewiasty.

Ksiądz Kordecki stanął na wzniesionym załomie skały i rzekł:

- Bramy piekielne nie przemogą mocy niebieskich. Uspokójcie się i otuchy w serca nabierzcie. Nie wstąpi noga heretyka (wojsko szwedzkie) w te święte mury (...). Nie wiem zaiste, azali przyjdzie tu zuchwały nieprzyjaciel, ale to wiem, iż gdyby przyszedł, ze wstydem i hańbą odstąpić musi, bo moc jego większa moc pokruszy, złość jego złamie się, potęga startą będzie i odmieni się szczęście jego. Otuchy w serca nabierzcie!

Nie ostatni raz wy tę Patronkę naszą widzicie, w większej owszem chwale oglądać Ją będziecie i nowe cuda ujrzycie. Nabierzcie otuchy, otrzyjcie łzy i wzmocnijcie się w wierze, gdyż powiadam wam - a nie ja to mówię, jeno duch boży mówi przeze mnie - że nie wejdzie Szwed do tych murów - łaska stąd spłynie i ciemności tak nie zgaszą światła, jako ta noc, która się dziś zbliża, bożemu słońcu wstać nie przeszkodzi.

A właśnie zachód był. Ciemność powlekła już okolicę, jeno kościół gorzał czerwono w ostatnich promieniach słońca. Widząc to ludzie poklękali wkoło murów i otucha zaraz spłynęła w ich serca. Tymczasem na wieżach poczęto sygnować na Angelus. Ksiądz Kordecki rozpoczął śpiewać: Anioł Pański, a za nim tłumy całe. Stojąca na murach szlachta i żołnierze z nimi swe głosy, dzwony większe i mniejsze dzwoniły do wtóru, i zdało się że cała góra śpiewa i brzmi jak olbrzymie organy, na cztery strony świata głośne.

Śpiewano do późna; odchodzących błogosławił na drogę ksiądz Kordecki, wreszcie rzekł:

- Który z mężów w wojnie służywał, z bronią umie się obchodzić i serce czuje mężne, niech jutrzejszego rana przyjdzie do klasztoru.

Kmicie z radością w sercu patrzył na przygotowania wojenne, na musztrujących się żołnierzy, na działa, stopy muszkietów, dzid i osęków. To był jego żywioł właściwy. Wśród tych groźnych machin, wśród krzątaniny, przygotowań i gorączki wojennej było mu dobrze, lekko i wesoło. Było tym lżej i weselej, że generalną spowiedź z całego życia odbył, jak czynią konający, i nad spodziewanie własne rozgrzeszenie otrzymał, bo kapłan zważył jego intencję, szczerą chęć poprawy i to, że już na tę drogę wstąpił.

Tak więc zbył się pan Andrzej brzemienia, pod którym już prawie upadał. Pokuty zadano mu ciężkie, i co dzień grzbiet jego krwawił się pod kańczugiem Soroki; kazano mu praktykować pokorę i to było jeszcze cięższe, bo jej w sercu nie miał, przeciwnie, pychę miał i chełpliwość; kazano mu wreszcie uczynkami cnotliwymi poprawę stwierdzić, ale to znów było najlżejsze. Sam niczego więcej nie pragnął, nie pożywał. Cała dusza młoda rwała się w nim ku uczynkom, bo oczywiście pod uczynkami rozumiał wojnę i bicie Szwedów od rana do wieczora, bez spoczynku i miłosierdzia. A właśnie jakże piękna, jak wspaniała otwierała się do tego droga! Bić Szwedów nie tylko w obronie ojczyzny, nie tylko w obronie pana, któremu wierność poprzysiągł, ale jeszcze w obronie Królowej Anielskiej, było to szczęście nad jego zasługę.

Gdzież się podziały te czasy, gdy stał jakoby na rozdrożu, pytając się siebie, którędy iść; gdzież te czasy, w których nie wiedział, co począć, w których wszędy spotykał się ze zwątpieniem i sam począł tracić nadzieję?

A przecie tu ludzie, te białe mnichy i ta garść chłopów i szlachty, gotowali się po prostu do obrony, do walki na śmierć i życie. Jedyne to był kąt taki w Rzeczypospolitej i właśnie pan Andrzej do niego zajechał, jakoby go jaka szczęśliwa gwiazda prowadziła. Bo przy tym wierzył święcie w zwycięstwo, choćby cała potęga szwedzka miała otoczyć te mury. W sercu miał tedy modlitwę, radość i wdzięczność.

Książdz Kordecki dwoił się i troił. Odprawiał nabożeństwo, zasiadał na radach, nie opuszczał chórów dziennych i nocnych, a w przerwach obchodził mury, rozmawiał ze szlachtą i wieśniakami. A przy tym w twarzy i całej postawie miał taki jakiś spokój, jaki prawie tylko kamienne posągi mieć mogą. Patrząc na jego oblicze, pobladłe od niewywczasów, można było sądzić, że ten człowiek śpi snem słodkim i lekkim; lecz cicha rezygnacja i niemal wesołość pałała się w oczach, usta poruszające się modlitwą zwiastowały, że czuwa i myśli, i modli się, i ofiaruje za wszystkich. Z tej duszy, natężonej ze wszystkich sił ku Bogu, wiara płynęła spokojnym i głębokim strumieniem; wszyscy ją pili pełnymi usty i kto miał duszę chorą, ten zdrowiał. Gdzie zabielał jego habit, tam pogoda czyniła się na twarzach ludzkich, oczy się śmiały, a usta powtarzały: "Ojciec nasz dobry, pocieszyciel, obrońca, nadzieja nasza." Całowano jego ręce i habit on zaś uśmiechał się jak zorza i szedł dalej, a koło niego, nad nim i przed nim szła ufność i pogoda.

Sam tylko zamiar uderzenia na ów klasztor niech się jeno rozgłosi - najgorsze uczyni wrażenie. Wasza miłość nie wiesz, bo tego żaden cudzoziemiec i nie papista wiedzieć nie może, czym jest Częstochowa dla tego narodu. Siła nam zależy na owej szlachcie, która się tak łatwo poddała, na owych panach, na wojskach kwarcianych, które wraz z hetmanami na naszą stronę przeszły. Bez nich nie dokazalibyśmy tego, cośmy dokazali. Ich to w połowie, ba, w większej części, rękoma objęliśmy te ziemię, a niech jeden strzał pod Częstochową padnie... kto wie... może jeden Polak przy nas nie zostanie...

Tymczasem ksiądz Kordecki przygotowywał dusze ludzkie. Przystępowano do nabożeństwa, jakby w wielkie i radosne święto, i gdyby nie niepokój i bladość niektórych twarzy, można by było przypuszczać, że to wesołe a solenne Alleluja! się zbliża. Sam przeor mszę celebrował, ozwały się wszystkie dzwony. Po mszy nabożeństwo nie ustawało jeszcze: wyszła bowiem wspaniała procesja na mury.

Ksiądz Kordeckiego, niosącego Przenajświętszy Sakrament, prowadził pod ręce miecznik sieradzki i pan Piotr Czarniecki. Przodem szły pacholeta w komżach, niosące trybularze na łańcuszkach, bursztyn i mirrę. Przed i za baldachimem postępowały szeregi białej braci zakonnej ze wzniesionymi ku niebu głowami i oczyma, ludzie różnych wieków, począwszy od starców zgrzybiałych, skończywszy na młodzieniaszkach, którzy zaledwie do nowicjatu weszli. Żółte płomyki świec chwiały się na wietrze, a oni szli i śpiewali zatopieni całkiem w Bogu, jakoby niczego więcej na tym świecie niepamiętni. Za nimi widziałeś podgolone głowy szlacheckie, zapłakane oblicza niewiast, ale spokojne pod łzami, wiarą i ufnością natchnięte. Szli i chłopci w sukmanach, długowłosi, do pierwszych chrześcijan podobni; małe dzieci, dziewczęta i chłopcy, zmieszani w tłumie łączyli swe anielskie cienkie głosiki z ogólnym chorałem. I Bóg słuchał tej pieśni, tego wylania serc, tego uciekania się spod ucisków ziemskich pod jedyną ochronę skrzydeł bożych. Wiatr ucichł, uspokoiło się powietrze, niebo wyblękitniało, a słońce jesienne rozlało łagodne, bladozłote, lecz ciepłe jeszcze światło na ziemię.

Orszak obszedł raz mury, lecz nie wracał, nie rozpraszał się - szedł dalej. Blaski od monstrancji padały na twarz przeora, i ta twarz wydawała się od nich jakoby złota także i promienista. Ksiądz Kordecki oczy trzymał przymknięte, a na ustach miał nieziemski prawie uśmiech szczęścia, słodczy, upojenia; duszą był w niebie, w jasnościach, w odwiecznym weselu, w niezmaconym spokoju. Lecz jak gdyby stamtąd odbierał rozkazy, aby nie zapomniał o tym ziemskim kościele, o ludziach i o twierdzy, i o tej godzinie, która miała nadejść, chwilami zatrzymywał się, otwierał oczy, wznosił monstrancję i błogosławił.

Więc błogosławił lud, wojsko, chorągwie kwitnące jak kwiaty, a migotliwe jak tęcza; potem błogosławił mury i wzgórza na okolice patrzące, potem błogosławił działa mniejsze i większe, kule ołowiane, żelazne, naczynia z prochem, dyłowania przy armatach, stosy srogich narzędzi do odparcia szturmujących; potem błogosławił wioskom na dalekościach leżącym i błogosławił północy, południu, wschodowi i zachodowi, jak gdyby chciał na całą okolicę, na całą tę ziemię moc bożą rozciągnąć.

Na mury klasztorne wyszła znów procesja, bo nic tak nie ukrzepiało walczących, jak widok Przenajświętszego Sakramentu i spokojnie z nim idących zakonników. Działa klasztorne odpowiadały grzmotem na grzmot, błyskawicą na błyskawicę, ile mogły, ile ludziom sił i tchu w piersi starczyło. Ziemia też zdawała się trząść w posadach. Morze dymu rozciągnęło się nad klasztorem i kościołem.

Co za chwile, co za widoki dla ludzi (a wielu takich było w twierdzy), którzy nigdy w życiu nie patrzyli w krwawe oblicze wojny!

Ojcze! - odrzekł rozrzuwniony Kmicic - co tam wielkiego!... Ja bym dla Najświętszej Panny... Ot! słów w gębie nie staje!... Ja bym na męki, na śmierć. Ja bym nie wiem co był gotów uczynić, byle jej służyć...

I lzy błysły w oczach pana Andrzeja, a ksiądz Kordecki rzekł:

- Chodźże do niej i z tymi łzami, póki nie obeschną. Łaska jej spłynie na ciebie, uspokoi cię, pocieszy, sławą i czią przyozdobi!

Kraj cały był jako okręt pogrążony już w otchłani, a jeno ów klasztor sterczał jeszcze jak koniec masztu nad falami. Czyli więc mogli rozbitkowie, do tego masztu uczepieni, myśleć jeszcze nie tylko o własnym ocaleniu, ale o wydobyciu całego okrętu spod toni? Wedle ludzkich obrachowań nie mogli.

A jednak, właśnie w chwili gdy pan Zamoyski wchodził z powrotem do definitorium, ksiądz Kordecki mówił:

- Bracia moi! Nie śpię i ja, gdy wy nie śpicie, modlę się, gdy wy Patronki naszej o ratunek błagacie. Znużenie, trud, słabość czepiają się tak samo kości moich jak waszych; odpowiedzialność tak samo, ba, więcej może na mnie niż na was ciąży - dlaczegóż ja wierzę, a wy już zdajecie się wątpić?... Wejdźcie w siebie, czyli zaślepione ziemską potęgą oczy wasze nie widzą już większej siły od szwedzkiej? Czyli nie mniemacie, że żadna obrona już nie wystarczy, żadna ręka tamtej przemocy nie zmoże? Jeżeli tak jest, bracia moi, to grzeszne wasze myśli i bluźnicie przeciw miłosierdziu bożemu, przeciw wszechmocy Pana naszego, przeciw potędze tej Patronki, której sługami się mianujecie. Kto z was będzie śmiał rzec, że ta Najświętsza Królowa nie potrafi nas zasłonić i zwycięstwa nam zesłać? Więc prosimy jej, błagajmy dniem i nocą, póki naszym wytrwaniem, naszą pokorą, naszymi łzami, ofiarowaniem ciał i zdrowia naszego nie zmiękczymy jej serca, nie przebłagamy za dawne grzechy nasze!

Przeor, zamiast odpowiedzieć wprost, modlić się znów począł:

- Matko Syna Jedyne! - rzekł podniósłszy oczy i ręce ku górze - jeśliś nas nawiedziła dlatego, abyśmy w Twojej stolicy przykład wytrwania, męstwa, wierności Tobie, ojczyźnie i królowi innym dali... jeśliś wybrała to miejsce, by przez nie rozbudzić sumienia ludzkie i cały kraj ocalić - zmiłujże się nad tymi, którzy źródł łaski Twojej chcą zahamować, Twym cudom przeszkodzić, woli Twojej świętej się sprzeciwić...

Tu chwilę pozostał w uniesieniu, następnie zwrócił się ku zakonnikom i szlachcie:

- Kto taką odpowiedzialność weźmie na własne ramiona? Kto cudom Marii, łasce Jej, ratunkowi tego królestwa i wiary katolickiej zechce przeszkodzić!

- W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego! - ozwało się kilka głosów - uchowaj nas Bóg!

- Nie znajdzie się taki!

Nastąpią szturmy okrutne... Ale to będą ostatnie wysiłki... Wytrzymajcie to jeszcze, bo już zbawienie idzie ku wam. Na te rany boskie, czerwone, przyjdzie król, hetmani, wojsko, cała Rzeczpospolita... na ratunek swojej Patronce... Ot, co wam powiadam... ratunek, zbawienie, sława... już, już... niedługo! Tu rozplakał się szlachcic poczciwy i stało się powszechne szlochanie.

Ach! tej znużonej garstce obrońców, tej garstce sług wiernych a pokornych należała się już lepsza wieść i jakowaś pociecha z kraju!

Ksiądz Kordecki powstał ze swojego miejsca, zbliżył się do pana Śladkowskiego i rozłożył szeroko ramiona.

Śladkowski rzucił się w nie i długo obejmowali się wzajem ; inni idąc za ich przykładem poczęli padać sobie w ramiona a ścisnąć się i całować, a wieszować sobie, jakoby Szwed już odstąpił. Na koniec ksiądz Kordecki rzekł:

- Do kaplicy, bracia moi, do kaplicy!

I poszedł pierwszy, a za nim inni. Pozapalano wszystkie świece, bo już mroczyło się na dworze, i rozsunięto firanki cudownego obrazu, od którego słodkie a rześiste blaski rozsypały się zaraz naokoło. Ksiądz Kordecki klęknął na stopniach, dalej zakonnicy, szlachta i lud prosty; nadeszły także niewiasty z dziećmi. Wybladłe z umęczenia twarze i zapłakane oczy wznosiły się ku obrazowi; ale spoza łez promienił się już na wszystkich uśmiech szczęścia. Przez chwilę trwało milczenie, na koniec ksiądz Kordecki zaczął:

- "Pod Twoją obronę uciekamy się, święta Boża Rodzicielko..."

Dalsze słowa uwięzły mu w ustach; umęczenie, dawne cierpienia, tajone niepokoje wraz z radosną nadzieją ratunku wezbrały w nim jak fala ogromna;

więc łkanie wstrząsnęło mu piersi i ten mąż, który losy całego kraju dźwigał na swych ramionach, pochylił się jak słabe dziecko, padł na twarz i z płaczem niezmiernym zdołał tylko zawołać:

- O Mario! Mario! Mario!

Płakali z nim razem wszyscy, a obraz z góry siał blaski przejasne...

Późną nocą dopiero rozeszli się zakonnicy i szlachta na mury, ksiądz Kordecki zaś pozostał całą noc leżący krzyżem w kaplicy. Były obawy w klasztorze, ażeby znużenie z nóg go nie zważyło, lecz on nazajutrz rano pokazał się na basztach, chodził pomiędzy żołnierstwem i załogą wesoły, wypoczęty, i tu, i owdzie powtarzał:

- Dzieci! Jeszcze Najświętsza Panna okaże, iż od burzących kolubryn mocniejsza, a potem będzie koniec waszych trosk i umęczenia!

Bywało się w gorszych opałach - rzekł Kmicic - nic mi nie będzie, bo takie moje szczęście! Ej, ojcie kochany, i co za różnica! Dawniej człek dla pokazania się, dla próżnej sławy lazył w hazard (ryzykowne akcje wojenne), a teraz na cześć Najświętszej Panny. Choćby też i przyszło nałożyć głowę, co mi się nie widzi, powiedzcie sami: możnali komu chwalebniejszej śmierci życzyć, jak owo za taką sprawę?...

Ksiądz długo milczał, na koniec rzekł:

- Perswazją, prośbami, błaganiem bym cię wstrzymywał, gdybyś sobie jeno do sławy słać drogę pragnął, ale masz słuszość, że tu chodzi o cześć Najświętszej Panny, o ten święty przybytek, o kraj cały! A ty, mój synu, czyli szczęśliwie wrócisz, czyli palmę osiągniesz, sławę, szczęście najwyższe, zbawienie osiągniesz. Przeciw sercu powiadam ci więc! idź, ja cię nie wstrzymuję!... Modlitwy nasze, opieka boska pójda z tobą...

- W takiej kompanii pójdę śmieie i rad zginę!

- A wracaj, żołnierzyku boży, a wracaj szczęśliwie, bośmy cię tu pokochali szczerze. Niechże cię Rafał święty prowadzi i odprowadzi, moje dziecko, mój synaczku kochany!...

- To ja zaraz przygotowania poczynię - rzekł wesoło pan Andrzej ściskając księdza

- przebiorę się po szwedzku w kolet i koliste buty, prochy naładuję, a w tymczasem, ojcie, egzorcyzmy jeszcze na tę noc wstrzymajcie, bo mgła potrzebna Szwedom, ale potrzebna i mnie.

- A nie chceszli wyspowiadać się przed drogą?

- Jakżeby inaczej! Bez tego bym nie poszedł, bo diabeł by miał przystęp do mnie.

- To od tego zacznij.

Kmicic klęknął przy księdzu i oczyścił się z grzechów. Potem zaś, wesoły jak ptak, poszedł czynić przygotowania.

Wiadomość o minach już założonych (przez wojsko szwedzkie, pod murami klasztoru jasnogórskiego) i gotowych do wybuchu rozbiegła się z szybkością błyskawicy z jednego końca wałów na drugi. Najodważniejsi nawet zlekli się. Niewiasty z płaczem poczęły oblegać mieszkanie przeora, wyciągać ku niemu dzieci, gdy ukazywał się na chwilę, i wołać:

- Nie gub niewinnych!.... Krew ich spadnie na ciebie!...

Im kto większym był tchórzem, z tym większą odwagą nacierał teraz na księdza Kordeckiego, by nie narażał na zgubę świętego miejsca, stolicy Najświętszej Panny. Nastąpiły tak ciężkie chwile i tak bolesne dla nieugiętej duszy owego bohatera w habicie, jakich nigdy dotąd nie bywało. Szczęściem, że i Szwedzi zaniechali szturmów, aby tym dowodniej okazać obleżonym, że już nie potrzebują ni kul, ni armat, że dość im jedną nitkę prochową zapalić. Lecz dla tych samych powodów przerażenie rosło w klasztorze. W czasie głuchych nocy niektórym najtchórzliwszym wydawało się, że słyszą już pod ziemią jakieś szmery, jakieś ruchy, że Szwedzi są już pod samym klasztorem. Upadła wreszcie na duchu i znaczna część zakonników. Ci, z ojcem Stradomskim na czele, udali się do przeora, by niezwłocznie rokowania o poddanie się rozpoczął. Z nimi razem poszła większość żołnierzy i kilku szlachty.

Wówczas ksiądz Kordecki wyszedł na podwórze, a gdy tłum otoczył go ściśniętym kołem, tak mówić począł:

- Zali nie przysięgliśmy sobie, że do ostatniej kropli krwi bronić świętego przybytku będziemy? Zaprawdę, powiadam wam, jeśli prochy nas wyrzucą, to tylko licze ciała nasze, tylko doczesne zwłoki opadną z powrotem na ziemię, a dusze już nie wrócą...

Niebo otworzy się nad nimi i tam wejdą w wesele, w szczęśliwość, jako morze bez granic. Tam Jezus Chrystus je przyjmie i ta Matka Najświętsza, i wyjdzie przeciw nich, a one jako pszczoły złote siedą na Jej płaszczu i w światłości się zanurzą, i w oblicze Boga patrzeć będą...

Tu blask tej światłości zaświtał na twarzy jego (ojca Kordeckiego), oczy natchnione wzniosł w górę i mówił dalej z powagą i spokojem zaziemskim:

- Panie, który światami rządysz, Ty patrzysz w serce moje i wiesz, że nie kłamię temu ludowi mówiąc, iż gdybym własnej szczęśliwości tylko pragnął, tedybym ręce wyciągnął ku Tobie i wołałbym z głębi duszy mojej: "Panie! spraw, aby te prochy były, aby wybuchły, bo w takiej śmierci jest odkupienie win i grzechów, bo jest odpoczynek wieczny, a sługa Twój znużon i spracowan już bardzo..."

I któż by nie chciał takiej nagrody za śmierć bez męki, jako mgnienie oka krótką, jako błyskawica na niebie przemijającą, po której wieczność niezmienna, szczęście nieprzebrane, radość bez końca!...

Lecz Ty mi kazałeś strzec przybytku Twego, więc mi odejść nie wolno; Tyś mnie na straży postawił, więc wlałeś we mnie moc Twoją, i wiem to. Panie, i widzę, i czuję, że choćby złość nieprzyjacielska aż pod ów kościół dotarła, choćby wszystkie prochy i niszczące saletry pod nim złożono, dość by mi było je przeżegnać, ażeby nie wybuchły...

Tu zwrócił się do zgromadzonych i tak mówił dalej:

- Bóg mi dał tę moc, lecz wy zdejmijcie strach z serc waszych! Duch mój przenika ziemię i powiada wam: Kłamią nieprzyjaciele wasi i nie ma prochowych smoków pod kościołem!... Wy, ludzie trwożliwych serc, wy, w których przestrach wiarę potłumił, nie zasłużyliście na to, aby dziś jeszcze wejść do królestwa łaski i odpocznienia - więc nie masz prochów pod stopami waszymi! Bóg chce ocalić ten przybytek, aby jako arka Noego unosił się nad potopem klęsk i niedoli, więc w imię Boga po raz trzeci powiadam wam: nie masz prochów pod kościołem! A gdy w Jego imieniu mówię, kto będzie śmiał mi przeczyć, kto wątpić się jeszcze odważy?...

To rzekłszy umilkł i patrzył na tłum zakonników, szlachty i żołnierzy. Lecz taka była niezachwiana wiara, pewność i siła w jego głosie, że oni milczeli także i nikt nie wystąpił. Przeciwnie, otucha poczęła wstępować w serca, aż na koniec jeden z żołnierzy, chłop prosty, rzekł:

- Bądź pochwalone imię Pańskie!... Od trzech dni mówią, iż mogą fortecę wysadzić, czemuż nie wysadzają?

- Chwała Najświętszej Pannie! Czemu nie wysadzają? - powtórzyło kilkanaście głosów. (...)

Otucha i nadzieja wróciły już do serc, zakonnicy bijąc się w piersi udali się do kościoła, a żołnierze na mury.

Swedzi odeszli! Swedzi odeszli! - poczęto wołać na murach (Jasnej Góry) i wieść piorunem rozbiegła się w okrąg.

Żołnierze dopadli dzwonów i uderzyli we wszystkie jakby na alarm. Kto żył, wypadł z cel, mieszkań, z kościoła.

Wieść brzmiała ciągle. Podwórzec zaroił się zakonnikami, szlachtą, żołnierstwem, niewiastami i dziećmi. Radosne okrzyki rozległy się dokoła. Jedni wypadali na mury, aby pusty obóz obejrzyć; inni wybuchali śmiechem lub szlochaniem.

Niektórzy nie chcieli wierzyć jeszcze; lecz napływały coraz nowe gromady tak chłopstwa, jako i mieszczaństwa.

Szli tedy z miasta Częstochowy i z wiosek okolicznych, i z lasów pobliskich, gwarno, wesoło i ze śpiewaniem. Krzyżowały się coraz nowe wieści; każdy widział odchodzących Szwedów i opowiadał, dokąd odchodzili.

W kilka godzin później pełno było ludzi na pochyłości i na dole pod górą. Bramy klasztoru otwarły się szeroko, jako zwyczajnie bywały przed wojną otwarte; jeno wszystkie dzwony biły, biły, biły... a owe głosy tryumfu leciały w dal i słyszała je cała Rzeczpospolita. Śnieg zasypywał ciągle ślady Szwedów.

O południu dnia tego kościół był tak nabity, że jako na brukowanych ulicach miejskich kamień leży jeden obok drugiego, tak tam głowa była przy głowie. Sam ksiądz Kordecki miał mszę dziękczynną, a tłumom ludzkim zdawało się, że to biały anioł ją odprawia. I zdawało się także, że duszę wyśpiewa w tej wotywie lub że z dymami kadzideł uniesie się ku górze i rozwieje Bogu na chwałę.

Huk dział nie wstrząsał już murów ani szyb w oknach, nie zasypywał kurzawą ludu, nie przerywał modlitw ani tej dziękczynnej pieśni, którą wśród uniesienia i płaczu powszechnego zaintonował święty przeor: Te Deum laudamus!...

Powtarzał sam król (szwedzki) i wszyscy jenerałowie szwedzcy: "Nie ma w tym narodzie (polskim) męstwa, nie ma stałości, nie ma ładu, nie ma wiary ani patriotyzmu! - muszą zginąć!"

Zapomnieli, że ten naród ma jeszcze jedno uczucie, to właśnie, którego ziemskim wyrazem była Jasna Góra.

I w tym uczuciu było jego odrodzenie.

Więc huk dział, który odezwał się pod świętym przybytkiem, odezwał się zarazem we wszystkich sercach magnackich, szlacheckich, mieszczańskich i chłopskich. Okrzyk zgrozy rozległ się od Karpat do Bałtyku i olbrzym rozbudził się z odrętwienia.

- To inny naród! - mówili ze zdumieniem jenerałowie szwedzcy.

Kmicie wszedł do środka (katedra lwowska). Ksiądz przed ołtarzem odprawiał wotywę, w kościele mało jeszcze było modlących się. W ławkach klęczało kilkanaście postaci z twarzami ukrytymi w dłoniach, a oprócz nich ujrzał pan Andrzej, gdy oczy jego oswoiły się z ciemnością, jakąś postać leżącą krzyżem przed samymi stallami, na rozciągniętym na ziemi kobierczyku. Za nim klęczało dwóch wyrostków o rumianych i prawie anielskich dziecinnych twarzach.

Człowiek ten leżał bez ruchu i tylko z piersi, poruszanych ustawicznie ciężkimi westchnieniami, można było poznać, że nie śpi, że modli się gorliwie i całą duszą.

Kmicic również pograżył się w modlitwie dziękczynnej; lecz po ukończonych pacierzach oczy jego mimo woli zwróciły się na leżącego krzyżem męża i nie mogły się już od niego oderwać, tak je coś przykuwało do niego. Westchnienia podobne do jęków, głośnie w ciszy kościelnej, wstrząsały ciągle tę postać. Żółte blaski świec zapalonych przed ołtarzem, wraz ze światłem dziennym, bielejącym w szybach, wydobywały ją z mroku i czyniły coraz widniejszą.

Pan Andrzej zaraz domyślił się z ubioru, że to musi być ktoś znaczny, gdyż i wszyscy obecni, nie wyłączając księdza odprawiającego wotywę, spoglądali nań ze czcią i uszanowaniem. Nieznajomy przybrany był cały w czarny aksamit podbity sobolami, tylko na ramionach miał odwinięty biały koronkowy kołnier, spod którego przeglądały złote ogniwa łańcucha; czarny z takimiz piórami kapelusz leżał obok, jeden zaś z paziów, klęczących za kobierczykiem, trzymał rękawice i szmelcowaną na błękitno szpadę. Twarzy nieznajomego nie mógł pan Kmicic widzieć, gdyż była ukryta w fałdach kobierczyka, a przy tym zasłaniały ją zupełnie rozproszone naokoło głowy loki nadzwyczaj obfitej peruki.

Pan Andrzej przysunął się do samej stalli tak, aby gdy nieznajomy się podniesie, mógł dojrzeć jego twarz. Tymczasem wotywa miała się ku końcowi. Ksiądz śpiewał już Pater noster. Ludzie, którzy chcieli być na następnej mszy, napływali przez główne drzwi wchodowe. Kościół zapełnił się z wolna postaciami o podgolonych głowach, przybranymi w delie, w żołnierskie burki, w szuby i altembasowe kapoty. Uczyniło się dość ciasno. Wówczas Kmicic trącił w łokieć stojącego obok szlachcica i szepnął:

- Przebacz wasza mość, że go w nabożeństwie inkomoduję, ale ciekawość mocniejsza. Kto też to jest?

Tu wskazał oczyma na leżącego krzyżem pana.

- Chybaś waś z daleka przyjechał, że nie wiesz, kto to jest? - odparł szlachcic.

- Pewnie, że z daleka przyjechał, i dlatego pytam, w nadziei, że gdy na kogo politycznego trafię, to mi nie poskąpi odpowiedzi.

- To jest król (król Polski Jan Kazimierz).

- Na Boga żywego! - zawołał Kmicic.

Miłościwy królu! - zakrzyknął pan Ługowski - są wieści z Częstochowy!
Woskowa twarz Jana Kazimierza ożywiła się nagle.

- Co? gdzie? kto jest? - spytał.

- Ten oto szlachcic! Powiada, że z samego klasztoru jedzie.

- Zali klasztor już zdobyty? - zakrzyknął król.

Wtem pan Andrzej rymnął jak długi do nóg pańskich.

Jan Kazimierz pochylił się i począł podnosić go za ramiona.

- Na potem - wołał - na potem!... Wstań waść, na Boga, wstań! mów prędzej...

Klasztor zdobyty?

Kmicic zerwał się ze łzami w oczach i krzyknął z zapalem:

- Nie zdobyty, miłościwy panie, i nie będzie! Szwedzi pobici! Największa armata wysadzona! Strach między nimi, głód, mizéria! O odstąpieniu myślą!...

- Chwała! Chwała Tobie, Królowo Anielska i nasza! - rzekł król.

To rzekłszy odwrócił się ku drzwiom kościelnym, zdjął kapelusz i nie wchodząc do środka, klęknął na śniegu przy drzwiach. Głowę oparł o ramę kamienną i pograżył się w milczeniu. Po chwili łkanie poczęło nim wstrząsać.

Rozczulenie ogarnęło wszystkich. Pan Andrzej ryczał jak żubr.

Król pomodliwszy się i wyplakawszy wstał uspokojony, z twarzą wiele pogodniejszą.

Słuchajcie, wasze moście! słuchajcie, gość z Częstochowy! dobra wieść, słuchajcie!... Z samej Jasnej Góry!...

Na to dygnitarze spoglądali z ciekawością na Kmicica, stojącego jakoby przed sądem, lecz on, śmiały z natury i przywykły do obcowania z wielkimi, wcale się widokiem tylu znamienitych ludzi nie strwożył i gdy zasiedli wszyscy miejsca, począł o całym oblężeniu opowiadać.

Prawdę znać było w jego słowach, bo mówił jasno, dobitnie, jak żołnierz, który sam na wszystko patrzył, wszystkiego się dotknął, wszystko przeżył. Mówił o księdzu Kordeckim, jako o proroku świętym, wychwalał pod niebiosa pana Zamoyskiego i pana Czarnieckiego, wysławiał innych ojców, nikogo, prócz siebie, nie pomijał; lecz całą obronę bez ogródki Najświętszej Pannie, Jej łasce i cudom przypisywał. Słuchali go w zdumieniu król i dygnitarze.

(...) - Mości panowie! - odezwał się z powagą król - nie wiedzieliśmy, kogo mamy przed sobą. Żywie jeszcze nadzieja, że nie zginęła ta Rzeczpospolita, póki takich kawalerów i obywateli wydaje.

Ze mszą wyszedł nuncjusz apostolski Widon, przybrany na purpurze w ornat biały, naszywany perłami i złotem.

Dla króla urządzono klęcznik między ołtarzem a stallami, przed klęcznikiem leżał rozpostarty dywan turecki. Kanonickie krzesła zajęli biskupi i świeccy senatorowie.

Różnobarwne światła wchodzące przez okna w połączeniu z blaskiem świec, od których ołtarz gorzeć się zdawał (...).

Wszystkie oczy utkwione w ołtarz, wszyscy modlą się; błyszczą i chwieją się płomienie świec; dymy z kadzielnic igrają i kłębią się w blaskach. Z drugiej strony stallów kościół nabity głowami, a nad głowami tęcza chorągwi jako tęcza kwiatów się mieni.

Majestat króla Jana Kazimierza padł wedle zwyczaju krzyżem i korzył się przed majestatem bożym. (...) król podniósł się z jaśniejszą twarzą (...) i przyjął komunię. Przez jakiś czas klęczał schylony; na koniec podniósł się, oczy zwrócił ku niebu i wyciągnął obie ręce. Uciszyło się nagle w kościele tak, że oddechów ludzkich nie było słychać. Wszyscy odgadli, że chwila nadeszła, i że król (Jan Kazimierz) jakiś ślub będzie czynił; wszyscy słuchali w skupieniu ducha, a on stał ciągle z wyciągniętymi rękoma, wreszcie głosem wzruszonym, ale jak dzwon donośnym, tak mówić począł:

- Wielka człowieczeństwa boskiego Matko i Panno! Ja, Jan Kazimierz, Twego Syna, Króla królów i Pana mego, i Twoim zmiłowaniem się król, do Twych najświętszych stóp przychodząc, tę oto konfederację czynię: Ciebie za Patronkę moją i państwa mego Królową dzisiaj obieram. Mnie, Królestwo moje Polskie, Wielkie Księstwo Litewskie, Ruskie, Pruskie, Mazowieckie, Żmudzkie, Inflanckie i Czernihowskie, wojsko obojga narodów i pospólstwo wszystkie Twojej osobliwej opiece i obronie polecam; Twojej pomocy i miłosierdzia w terażniejszym utrapieniu królestwa mego przeciwko nieprzyjaciołom pokornie zebrzę...

Tu padł król na kolana i milczał chwilę, w kościele cisza ciągle trwała śmiertelna, więc wstawszy tak dalej mówił:

- A że wielkimi Twymi dobrodziejstwami zniewolony przymuszony jestem z narodem polskim do nowego i gorącego Tobie służenia obowiązku, obiecuję Tobie, moim, ministrów, senatorów, szlachty i pospólstwa imieniem, Synowi Twemu Jezusowi Chrystusowi, Zbawicielowi naszemu, cześć i chwałę przez wszystkie krainy królestwa polskiego rozszerzać, czynić wolą, że gdy za zlitowaniem Syna Twego otrzymam wiktoryę nad Szwedem, będę się starał, aby rocznica w państwie mym odprawiała się solennie do skończenia świata rozpamiętywaniem łaski boskiej i Twojej, Panno Przczysta!

Tu znów przerwał i klęknął. W kościele uczynił się szmer, lecz głos królewski wnet go uciszył i choć drżał teraz skruchą, wzruszeniem, tak dalej mówił jeszcze donośniej:

- A że z wielkim żalem serca mego uznaję, dla jęczenia w opresji ubogiego pospólstwa oraczów, przez żołnierstwo uciemiężonego, od Boga mego sprawiedliwą karę przez siedm lat w królestwie moim różnymi plagami trapiącą nad wszystkich ponoszę, obowiązuję się, iż po uczynionym pokoju starać się będę ze stanami Rzeczypospolitej usilnie, ażeby odtąd utrapione pospólstwo wolne było ód wszelkiego okrucieństwa, w czym, Matko Miłosierdzia, Królowo i Pani moja,

jakoś mnie natchnęła do uczynienia tego wotum, abyś łaską miłosierdzia u Syna Twego uprosiła mi pomoc do wypełnienia tego, co obiecuję.

Słuchało tych słów królewskie duchowieństwo, senatorowie, szlachta, gmin. Wielki płacz rozległ się w kościele, który naprzód w chłopskich piersiach się zerwał i z onych wybuchnął, a potem stał się powszechny. Wszyscy wyciągnęli ręce ku niebu, rozplakane głosy powtarzały: "Amen! amen! amen!", na świadectwo, że swoje uczucia i swoje wota ze ślubem królewskim łączą. Uniesienie ogarnęło serca i zbratały się w tej chwili w miłości dla Rzeczypospolitej i jej Patronki. Za czym radość niepojęta jako czysty płomień rozpałała się na twarzach, bo w całym tym kościele nie było nikogo, kto by jeszcze wątpił, że Bóg Szwedów pogrąży.

Dawne jego (Kmicica) winy wielkie, ale i świeże zasługi niemałe. Oto powstał z upadku, z grzechu i poszedł pokutować nie w kruchcie, ale w polu (na wojnie w obronie Rzeczypospolitej i wiary chrześcijańskiej), nie w popiele, ale we krwi. Bronił Najświętszej Panny, ojczyzny, króla, i teraz czuje, że mu na duszy lżej, weselej. Ba! nawet dumą wzbiera serce junackie, bo nie każdy tak by sobie dał rady jako on!

Żadna księga nie wypisała, ile jeszcze bitew stoczyły wojska, szlachta i lud Rzeczypospolitej z nieprzyjaciółmi. Walczono po lasach, polach, po wsiach, miasteczkach i miastach (...) walczono bez wytchnienia we dnie i w nocy. Każda grudka ziemi nasyciła się krwią. Nazwiska rycerzy, prześwietne czyny, wielkie poświęcenia zginęły w pamięci, bo nie zapisał ich kronikarz i nie wyśpiewała lutnia. Ale pod potęgą tych usiłowań ugięła się wreszcie moc nieprzyjacielska. I jako gdy wspaniały lew, który przed chwilą, przesyty pociskami, leżał jak martwy, podniesie się nagle, a wstrząsnawszy królewską grzywą, ryknie potężnie, wnet myśliwców przejmuje strach błady i nogi ich zwracają się ku ucieczce, tak owa Rzeczpospolita powstawała coraz groźniejsza, jowiszowego gniewu pełna, światu całemu stawić czoło gotowa; w kości zaś napastników zstąpiła niemoc i strach. Nie o zdobyczy już myśleli, ale o tym jeno, by ze lwiej paszczyki głowy całe do domowych pieleszy unieść.

Żyw, ale śmierć nad nim (nad Kmicicem).

Tu miecznik spojrzawszy na twarz Kmicica ozwał się znowu:

- Nie dowieziecie go do Lubicza.
- Kazał się koniecznie tam wieźć, bo tam chce umrzeć.
- Z Bogiem! Spieszcie się!
- Czołem bijemy!

I wóz ruszył dalej, a Oleńka z miecznikiem skoczyli co tchu w koniach w przeciwną stronę. Przelecieli przez Wołmontowicze jak dwa widziadła nocne i dopadli do Wodoktów nie mówiąc do siebie ni słowa przez drogę; dopiero zsiadając z konia Oleńka zwróciła się do stryja:

- Księdza mu trzeba posłać! - rzekła zdyszczanym głosem - niech w tej chwili ktoś do Upity rusza!

Miecznik zajął się żywo spełnieniem polecenia, ona zaś wpadła do swojej izby i rzuciła się na kolana przed obrazem Najświętszej Panny.

W parę godzin potem, późną już nocą, dzwonek ozwał się przed bramą Wodoktów. To ksiądz przejeżdżał z Panem Jezusem do Lubicza.

Panna Aleksandra klęczała ciągle. Usta jej powtarzały litanie, którą się przy konających odmawia. A gdy ją odmówiła, po trzykroć poczęła bić głową o podłogę i powtarzać ustawicznie:

- Panie, policz mu, że z ręki nieprzyjaciół ginie... Panie, policz mu, że z ręki nieprzyjaciół ginie... Opuść mu! zmiłuj się nad nim!..

Na tym zeszła jej cała noc. Ksiądz bawił (przebywał) w Lubiczu aż do rana, a wracając, sam wstąpił do Wodoktów. Ona wybiegła na jego spotkanie.

- Czy już? - spytała.

I nie mogła mówić więcej, bo jej oddechu zbrakło.

- Żyw jeszcze - odrzekł ksiądz.

We dwa tygodnie później pan Kmicic wstawał już i chodził na kulach, a następnej niedzieli uparł się jechać do kościoła.

- Pojedziem do Upity - rzekł do Soroki - bo od Boga trzeba poczynać, a po mszy do Wodoktów.

Soroka nie śmiał się sprzeciwić, więc kazał jeno wymościć sianem skarbniczek, a pan Andrzej wystroił się odświętnie i pojechali.

Przyjechali w czas, gdy mało jeszcze ludzi było w kościele. Pan Andrzej, wsparty na ramieniu Soroki, podszedł pod sam wielki ołtarz i klęknął w kolatorskiej ławce; nikt też go nie poznał, tak zmienił się wielce; twarz miał bardzo chudą, wynędzniałą, a przy tym nosił długą brodę, która mu czasu wojny i choroby wyrosła.

Kto i spojrział na niego, pomyślał, że jakiś przejezdny personat na mszę wstąpił; kręciło się bowiem wszędzie pełno przejezdnej szlachty, która z pola (z wojny) do swych majątności wracała.

Lecz kościół z wolna napełniał się ludem i okoliczną szlachtą; za czym poczęli zjeżdżać i posesjonaci z dalekich nawet stron, bo w wielu miejscach kościoły były popalone i mszy trzeba było aż w Upicie szukać.

Kmicic, zatopiony w modlitwie, nie widział nikogo; z pobożnego zamyślenia zbudziło go dopiero skrzypienie ławki pod nogami wchodzących do niej osób.

Wówczas podniósł głowę, spojrział i spostrzegł tuż nad sobą słodką a smutną twarz Oleńki. Ona także dostrzegła go i poznała w tej chwili, bo cofnęła się nagle, jakby przerażona; naprzód płomień, a potem bladość śmiertelna wystąpiła na jej twarz, lecz najwyższym wysileniem woli przemogła wrażenie i klękała tuż koło niego.

I Kmicic, i ona pochylili głowy i wsparłszy twarz na dłoniach klęczeli obok siebie w milczeniu, a serca były im tak, że je słyszeli oboje doskonale.

Wreszcie pan Andrzej przemówił pierwszy:

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

- Na wieki wieków... - odrzekła półgłosem Oleńka. I więcej nie mówili do siebie.

(...) - Oleńka, Oleńka przy mnie! - mówił (Kmicic) sobie - oto Bóg nam się w kościele po rozłące spotkać kazał...

I chwilami płacz radości chwycił go za gardło, to znów porywało go takie uniesienie dziękczynnej modlitwy (...).

Nagle przed kościołem rozległ się szczeł broni i tętent kopyt końskich. Ktoś krzyknął przed progiem kościoła: "Lauda wraca!" (rycerstwo polskie wraca z wojny) - i wnet w samej świątyni zerwały się szmery, potem gwar, potem coraz głośniejsze wołanie:

- Lauda! Lauda!

Tłumy poczęły się kołysać, wszystkie głowy zwróciły się naraz ku drzwiom. A wtem zaroilo się we drzwiach i hufiec zbrojny pojawił się w kościele. Na czele szli z brzękiem ostróg pan Wołodyjowski i pan Zagłoba. Tłumy rozstępowały się przed nimi, a oni przeszli przez cały kościół, klękli przed ołtarzem, pomodlili się krótką chwilę, po czym obaj weszli do zakrystii.

Laudańscy zatrzymali się wpół nawy, nie witając się dla powagi miejsca z nikim.

Ach, co za widok! Groźne twarze, ogorzałe od wichrów, wychudłe z trudów bojowych, pocięte szablami Szwedów, Niemców, Węgrów, Wołochów. Cała historia wojny i chwała pobożnej Laudy mieczem na nich wypisana. Lecz ledwie czwarta część wróciła z tych, którzy ongi pod Wołodyjowskim z Laudy ruszyli.

Wiele niewiast na próżno szuka mężów, wielu starców na próżno wypatruje synów, więc płacz wzmaga się, bo i ci, którzy znajdują swoich, płaczą z radości. Cały kościół rozlega się szlochaniem; od czasu do czasu głos jakiś imię kochane wykrzyknie i zmilknie, a oni stoją w chwale, wsparci na mieczach, lecz i im po srogich bliznach łzy spływają na wąsiska.

Wtem dzwonek targnięty przy drzwiach zakrystii uciszył płacze i gwary.

Wszyscy klękli, wyszedł ksiądz ze mszą, a za nim w komżach pan Wołodyjowski i pan Zagłoba, i ofiara się rozpoczęła.

Lecz ksiądz także był wzruszony i gdy pierwszy raz zwrócił się do ludu mówiąc: Dominus vobiscum! - głos mu drgał; (...) wszystkie szable naraz wysunęły się z pochew na znak, że Lauda zawsze gotowa wiary bronić, a w kościele stało się aż jasno od stali (...).

MOTYWY RELIGIJNE
W
POWIEŚCI H. SIENKIEWICZA

„PAN WOŁODYJOWSKI”

Pierwsze wydanie: 1888 r.

Czas i miejsce akcji: lata 1668–1673
Polska w okresie wojen z Turcją

Aż pewnej nocy wpada do mnie (Charłampa) Wołodyjowski w konfuzji wielkiej. „Na Boga! Nie wiesz gdzie jakiego medyka?” — „Co się stało?” — „Chora (narzeczona Wołodyjowskiego -Anna) świata nie poznaje!” Pytam, kiedy zachorowała, powiada, że dopiero co dali mu znać od pani Zamoyskiej. A tu noc! Gdzie szukać medyka, kiedy tam jeno klasztor cały, a w mieście więcej jeszcze zgliszczów niż ludzi. Wynałazłem wreszcie felczera, a i to nie chciał iść! Musiałem go obuszkiem przygnać na samo miejsce. Ale tam już był ksiądz potrzebniejszy niż felczer; jakoż zastaliśmy godnego paulina, którego modlitwą ją do przytomności przyprowadził, tak że mogła sakramenta przyjąć i z panem Michałem czule się pożegnać. Na drugi dzień z południa już było po niej! Felczer mówił, że jej kto musiał coś zadać, luboć to niepodobna, bo w Częstochowie czary się nie chwytają. Ale co się z panem Wołodyjowskim działo, co wygadywał, tego ufam, że mu Pan Jezus nie zakarbuje, bo człek się ze słowami nie liczy, gdy go boleść targa... Ot, mówię waszmości — tu pan Charłamp zniżył głos — bluźnił w zapamiętaniu!

— Dla Boga! Bluźnił? — powtórzył cicho Kmicic.

— Wypadł od jej ciała na sień, z sieni na podwórzec i taczał się jak pijany. Tam pięści do góry podniósłszy począł okropnym głosem wołać: „Takaż mi nagroda za moje rany, za moje trudy, za moją krew, za moją dla ojczyzny przychylność?!...” „Jedno jagnię (powiada) miałem, i to mi, Panie, zabrałeś. Zbrojnego męża (powiada) powalić, którego w hardości po ziemi stąpa, godna (powiada) boskiej ręki sprawa, ale gołębia niewinnego potrafi zadusić i kot, i jastrząb, i kania!... i...”

— Na rany boskie! — zakrzyknęła pani Andrzejowa — nie powtarzaj waść, bo nieszczęście na dom ściągniesz!

Charłamp przeżegnał się i dalej mówił:

— Myślało żołnierzysko, że się dosłużyło, a ot mu nagroda! Ha! Bóg najlepiej wie, co robi, choć tego ni rozumem ludzkim pojąć, ni sprawiedliwością ludzką odmierzyć! Zaraz tedy po onych bluźnierstwach stęzał i na ziemię upadł, a ksiądz nad nim egzorcyzma odprawował, żeby sprośne duchy w niego nie wstąpiły, które mogły na bluźnierstwa się zwabić.

Jakoż dobrze jeszcze przed zachodem słońca ruszył rycerz (Kmicic), żegnany przez żonę (Aleksandrę) łzami i krzyżem (...)

Na to Zagłoba odjął od skroni pięści, którymi sobie głowę ścisnął, i zakrzyknął:

— Ależ on (Wołodyjowski) kamedułą nie zostanie, choćbym miał na *Montem regium* zajazd uczynić i siłą go odjąć! Dla Boga! Jutro zaraz do niego się udam. Przecie może mojej perswazji posłucha, a nie, to do księdza prymasa pójdę, do generała kamedułów! Choćbym też do Rzymu miał jechać — pojedę. Nie chcę ja chwale bożej ujmować, ale co z niego za kameduła, kiedy jemu i włosy na brodzie nie rosną. Tyle, co u mnie na pięści! Jak mi Bóg miły! On i mszy nie potrafi nigdy zaśpiewać, a jeśli i zaśpiewa, to szczury z klasztoru pouciekają, bo będą myślały, że koczur miauczy wesele odprawując. Waszmościowie, wybaczcie, że mówię, co żal na język przyniesie! Gdybym miał syna, to bym go tak nie miłował, jako tego chłopca miłowałem. Bóg z nim! Bóg z nim! Żeby choć bernardynem został, ale kamedułą! Nie może z tego nic być, jako żyw tu siedzę! Jutro zaraz do księdza prymasa zastukam, aby mi dał listy do przeora.

— Ślubów przecie nie mógł jeszcze wykonać — wtrącił pan marszałek — ale go waszmość nie naglij, żeby się właśnie nie zaciął, a i z tym się trzeba rachować, czy się wola boska w jego intencji nie objawiła?

— Wola boska? Wola boska nie przychodzi nagle, jako i stare przysłowie mówi, że co nagle, to po diable. Miałyby być wola boska, to bym był z dawna inklinację w nim dostrzegł, a on był nie ksiądz,

jeno dragon. Gdyby pełnym rozumem władnąc, takowe postanowienie w spokoju i z rozmysłem uczynił, nic bym nie mówił; ale wola boska nie uderza na człeka w desperacji, jako właśnie raróg na cyrankę. Nie będę go naglił. Nim pójdę, dobrze pierwej sobie ułożę, co mu mam powiedzieć, aby się od razu nie zlisił; ale w Bogu nadzieja! Konfidował zawsze żołnierzysko więcej memu dowcipowi niż swemu; tuszę, że i teraz tak będzie, chyba że się całkiem odmienił.

Nazajutrz, zaopatrzwszy się w listy księdza prymasa i ułożywszy cały plan z Hasslingiem, zadzwonił pan Zagłoba do furty klasztornej na *Mons regius*. Serce biło mu mocno na myśl, jak go przyjmie pan Wołodyjowski, i sam też, choć sobie ułożył z góry, co mu powie, poznał, że dużo zależało od przyjęcia, jakiego dozna. Tak myśląc pociągnął za dzwonek drugi raz, a gdy klucz zaskrzypiał w zamku i furta odchyliła się nieco, wpakował się w nią zaraz, trochę przemocą, i rzekł do zmieszanego młodego mniszka:

— Wiem, że żeby wejść tutaj, osobną permisję mieć trzeba, ale ja mam list od księdza arcybiskupa, któren zechciej, *carissime frater*, księdzu przeorowi oddać.

— Stanie się wedle woli waszmości — odpowiedział furtian skłoniwszy się na widok prymasowskiej pieczęci.

To rzekłszy, pociągnął za ramię wiszący u serca dzwonka i dwa razy uderzył, aby kogoś przywołać, bo sam nie miał prawa odejść od furty.

Na on głos pojawił się drugi mnich i zabrawszy list, oddalił się z nim w milczeniu, pan Zagłoba zaś złożył na ławce zawinięcie, które miał ze sobą, po czym siadł sam i sapać począł mocno.

— *Frater* — rzekł wreszcie — a jak dawno w zakonie?

— Piąty rok — odrzekł furtian.

— Proszę, taki młody, a już piąty rok! To już, choćby się chciało wyjść, za późno! A musiało się nieraz zatęsknić za światem, bo to, mosterdzieju, jednemu wojenka pachnie, drugiemu uczyty, trzeciemu białogłowy...

— *Apage!* — rzekł mniszek żegnając się pobożnie.

— Jakże? Nie brała pokusa wyjść? — powtórzył Zagłoba.

Lecz mniszek spojrział z nieufnością na rozmawiającego tak dziwnie arcybiskupiego wysłańca i odrzekł:

— Za kim się tu drzwi zamkną, ten już nie wychodzi.

— To obaczmy jeszcze! Co tam z panem Wołodyjowskim się dzieje? Zdrów?

— Nie masz tu nikogo, co by się tak nazywał.

— Brat Michał? — rzekł na próbę pan Zagłoba. — Dawny pułkownik dragoński, który tu wszedł niedawno?

— Tego bratem Jerzym nazywamy, ale on dotąd ślubów nie wykonał i wykonać ich przed terminem nie może.

— I pewno nie wykona, bo nie uwierzysz, *frater*, co to był za podwikarz! Drugiego tak na białogłowską cnotę zawziętego nie znalazłbyś we wszystkich zako... chciałem powiedzieć: we wszystkich pułkach z całego komputu...

— Mnie się tego słuchać nie godzi — odparł z coraz większym zdziwieniem i zgorszeniem mnich.

— Słuchajże, *frater*. Nie wiem, gdzie u was moda przyjmować, ale jeśli tu, na tym miejscu, to radzę, jak tu przyjdzie brat Jerzy, odejść lepiej, ot, do tej izby przy furcie, bo my tu o nader światowych rzeczach będziemy rozmawiali.

— Ja i zaraz wolę odejść — rzekł mnich.

Tymczasem pokazał się Wołodyjowski, czyli raczej brat Jerzy, ale Zagłoba nie poznał nadchodzącego, bo pan Michał zmienił się wielce.

Naprzód, w długim białym habicie wydawał się wyższy niż w dragońskim kolecie; po wtóre, sterczące dawniej ku oczom wąsiki nosił teraz ku dołowi i brodę usiłował zapuścić, która tworzyła dwa żółte kosmyczki nie dłuższe nad pół palca; na koniec wychudł i wymizerniał bardzo, oczy jego straciły dawny blask i zbliżał się powoli, mając ręce ukryte na piersiach pod habitem i spuszczoną głowę.

Zagłoba nie poznawszy go myślał, że to może sam przeor nadchodzi, więc podniósł się z ławy i zaczął mówić:

— *Laudetur...*

Nagle spojrzął bliżej, ręce roztworzył i zakrzyknął:

— Panie Michale! Panie Michale!

Brat Jerzy dał się porwać w objęcia, coś na kształt łkania wstrząsnęło mu piersi, ale oczy jego pozostały suche. Zagłoba ścisnął go długo, na koniec począł mówić:

— Nie sam nad swoim nieszczęściem płakałeś. Płakałem ja, płakali Skrzetuscy i Kmicicowie. Wola boska! Zgódź się z nią, Michale! Niechże cię Ojciec Miłosierny pocieszy, nagrodzi!

Dobrześ uczynił, żeś na czas w tych oto murach się zamknął. Nie masz w nieszczęściu nic lepszego nad modlitwę i pobożne rozmyślenia. Daj, niech cię jeszcze raz uściskam. Przez łzy ledwie że cię dojrzeć mogę!

I pan Zagłoba płakał naprawdę, widokiem Wołodyjowskiego poruszony, wreszcie tak mówił dalej:

— Wybacz, żeś ci twe rozmyślenia przerwał, ale już nie mogłem inaczej uczynić, i sam mi słuszność przyznasz, gdy ci racje moje przytoczę! Ej, Michale! Siłaśmy ze sobą złego i dobrego zażyli! Znalazłeś za tą kratą jaką pociechę?

— Znalazłem — odrzecz pan Michał — w tych słowach, które tu co dzień słyszę i powtarzam, a które do śmierci chcę powtarzać: *memento mori*. W śmierci jest dla mnie pociecha.

— Hm! Śmierć łatwiej na polu bitwy znaleźć niż w klasztorze, gdzie życie tak idzie, jakoby kto z kłębka powoli nic odwijał.

— Nie masz tu życia, bo nie masz spraw ziemskich, i zanim dusza ciało opuści, już jakoby na innym świecie żywie.

— Kiedy tak, to już ci nie powiem, że się orda białogrodzka na Rzeczpospolitą w wielkiej potędze gotuje, bo cóż cię to obchodzić może?

Pan Michał wąsikami nagle ruszył i prawicą mimo woli do lewego boku sięgnął, ale nie znalazłszy szabli, zaraz obie ręce pod habit schował, spuścił głowę i rzekł:

— *Memento mori!*

— Słusznie, słusznie! — rzekł Zagłoba mrugając z pewnym zniecierpliwieniem swoim zdrowym okiem. — Wczoraj jeszcze pan Sobieski, hetman, mówił: „Niechby Wołodyjowski choć przez tę jedną nawałnicę przesłużył, a potem do jakiego chce klasztoru szedł. Bóg by się o to nie rozgniewał, owszem, zasługę miałby taki mnich tym większą”. Ale trudno ci się i dziwić, że własne uspokojenie nad szczęście ojczyzny przekładasz, bo przecie: *prima charitas ab ego*.

Nastała długa chwila milczenia, tylko wąsy pana Michała zjeżyły się jakoś i poczęły się szybko, choć lekko poruszać.

— Ślubów jeszcze nie wykonałeś — spytał wreszcie Zagłoba — i wyjść w każdej chwili możesz?

— Nie jestem jeszcze zakonnikiem, bom czekał na łaskę bożą i na to, by wszystkie ziemskie myśli bolesne opuściły duszę moją.

Ale łaska jest nade mną, spokój mi wraca, wyjść mogę, ale już nie chcę, gdyż zbliża się termin, w którym z czystym sumieniem i próżen ziemskich pożądlności, będę mógł śluby wykonać.

— Nie chcę ja cię od tego odwozić, owszem, chwałę rezolucję, chociaż pamiętam, że gdy Skrzetuski zamierzył swego czasu mnichem zostać, to jednak czekał z tym, póki by ojczyzna od nawałności nieprzyjacielskiej wolna nie była. Ale czyń, jak chcesz. Zaiste nie ja cię będę odwoził, bom i sam czułem swego czasu do życia zakonnego wokację. Pięćdziesiąt lat temu zacząłem już nawet nowicjat; szelmą jestem, jeśli łżę! No! Bóg inaczej pokierował... To ci tylko powiem, Michale, że teraz musisz wyjść ze mną choć na parę dni.

— Czemu mam wyjść? Ostawcie mnie w spokoju — odrzekł Wołodyjowski.

Zagłoba podniósł poję od kontusza do oczu i słuchać począł.

— Dla siebie — mówił przerywanym głosem — o ratunek nie proszę, choć mnie książę Bogusław Radziwiłł zemstą ściga i morderców na mnie zasadza, a mnie starego nie masz komu bronić i osłaniać... Myślałem, że ty! Mniejsza z tym!... Ja cię zawsze będę miłował, choćbyś mnie zgoła znać nie chciał... Módl się tylko za duszę moją, bo ja rąk Bogusławowych nie ujędę!... Niech mnie spotka, co ma spotkać. Ale inny twój przyjaciel, który każdym kawałkiem chleba z tobą się dzielił, kona i koniecznie widzieć cię pragnie, i nie chce bez ciebie umierać, bo ma ci wyznania jakoweś uczynić, od których spokój jego duszy zależy.

Pan Michał, który już o niebezpieczeństwie Zagłoby z wielkim wzruszeniem słuchał, porwał się teraz i chwyciwszy Zagłobę za ramiona, pytał:

— Skrzetuski?

— Nie Skrzetuski, ale Ketling!

— Dla Boga! co się z nim dzieje?

— W mojej obronie przez siepaczów księcia Bogusława postrzelon, nie wiem, czy przez dzień jeszcze żyw będzie. Dla ciebie to, Michale, wpadliśmy oba w takie terminy, bośmy tylko dlatego do Warszawy przyjechali, by ci pociechę jakąś obmyślić. Wyjdź choć na dwa dni i pociesz konającego. Wrócisz później... zostaniesz mnichem... Przywiozłem instancję prymasowską do przeora, aby ci impedimentów nie czyniono... Spiesz się jeno, bo każda chwila droga!...

— Przebóg! — mówił Wołodyjowski. — Co słyszę! Impedimentów nie mogą mi tu stawiać, bom ja dotąd jakoby tylko na rekolekcjach... Przebóg! Prośba konającego święta rzecz! Tej ja odmówić nie mogę!

— Grzech byłby śmiertelny! — zakrzyknął Zagłoba.

— Tak jest! Wiecznie, ten zdrajca Bogusław!... Ale jeśli Ketlinga nie pomszczę, niech tu nigdy nie wrócę... Znajdę ja tych dworzan, tych siepaczów, i łbów napłatam...

Wielki Boże! Już grzeszne myśli mnie opadają! *Memento mori!*... Czekaj tu waść, jeno się przebiorę w stare szatki, bo w habicie na świat wyjść nie wolno...

— Ot, szatki! — krzyknął Zagłoba porywając za zawinięcie, które dotąd leżało obok niego na ławie. — Wszystkom przewidział, wszystko przygotowałem... Są buty, jest rapierek zacny i kubrak...

— Chodź waść do celi — odrzekł z pośpiechem mały rycerz.

I poszli, a gdy się ukazali znowu, koło pana Zagłoby dreptał już nie mniszek biały, ale oficer w żółtych butach za kolana, z rapierem przy boku i z białym pendentem przez ramię.

Zagłoba okiem mrugał i pod wąsami się na widok brata furtiana uśmiechał, który z widocznym zgorszeniem w twarzy otwierał obydwom bramę. (...)

Zagłoba rzekł — Michale, jeśli mnie kochasz, uczyn to dla mnie i pocałuj psa w nos, razem ze swoim „*memento*”. *Repeto*, że uczynisz, jak zechcesz, ale ja tak myślę: niech każdy służy Bogu tym, do czego go stworzył, a ciebie stworzył do rapiera, w czym widoczna była jego wola, gdy ci w onej sztuce do takiej doskonałości dojść pozwolił. A gdyby chciał cię mieć księdzem, tedy byłby cię zgoła innym dowcipem przyozdobił i serce ci więcej do ksiąg a łaciny nakłonił. Zauważ także, że święci żołnierze nie mniejszego respektu w niebie zażywają od świętych zakonników i na wyprawy przeciw komputowi piekielnemu chodzą, i *praemia* z rąk bożych otrzymują, gdy z chorągwiami zdobycznymi wracają... Wszystko to prawda, nie zaprzeczysz?

Pan Sobieski (Jan III Sobieski) kochał nad wszystko żołnierzy (...); uważał ich jakoby za rodzinę swoją i przeto właśnie postanowił powitać Wołodyjowskiego, pocieszyć go, wreszcie okazaniem niezwykłego faworu i pamięci wśród szeregów zatrzymać.

Więc powitawszy się z Ketlingiem wyciągnął zaraz ręce ku małemu rycerzowi, a gdy ów się zbliżył i za kolana go chwycił, ścisnął mu dłońmi głowę.

— No, stary żołnierzu! — rzekł — no! Boża ręka cię przycisnęła do ziemi, aleć cię ona podniesie i pocieszy... Bóg z tobą! Już też zostaniesz z nami...

Szlochanie wstrząsnęło piersią pana Michała.

— Ostanę! — rzekł wśród łez.

Oj, ciężkiem dni przebywał (Jan Sobieski) pod Podhajcami (walka przeciw armii kozacko-tatarskiej atakującej Rzeczpospolitą), chociażem wam wesołe pokazywał oblicze, abyście zaś nie myśleli, żem o wiktorii w polu (w walce) zdesperował. Ludzi nie masz! — myślałem sobie — ludzi nie masz prawdziwie tę ojczyznę miłujących! I tak mi było, jakoby mi kto nóż w pierś wbijał. Aż razu pewnego... było to ostatniego dnia w podhajeckim okopie... gdym was w dwa tysiące posłał do ataku na dwadzieścia sześć tysięcy ordy, a wyście na oczywistą śmierć, na pewne jatki lecieli z takim okrzykiem i ochotą, jakoby na wesele, przyszło mi nagle na myśl: „A owi moi żołnierze?” I Bóg w jednej chwili zdjął kamień z serca, i w oczach stało mi się jasno. Ci — rzekłem — z czystej miłości dla matki tam giną; ci nie pójdą do związków ani do zdrajców; z nich utworzę święte bractwo, z nich utworzę szkołę, w której młode pokolenia uczyć się będą. Ich przykład, ich kompania podziąła; przez nich ten naród nieszczęsny się odrodzi, prywaty próżen, swawoli niepomny, i stanie jako lew okrutną moc w członkach czujący, i świat zadziwi! Takie to bractwo z moich żołnierców uczynię! Tu pan Sobieski sam zapłonął, podniósł do góry głowę podobną do głowy rzymskiego cezara i wyciągnąwszy ręce zawołał:
— Panie! (...) pozwól mi moją ojczyznę odrodzić!

Więc weszli do kościoła. (Ketling i Krystyna)
On wziął jej rękę i prowadził długim korytarzem. Ręki tej nie przyciskał do serca; szedł spokojny i skupiony. Boczne okienka rozświecały raz w raz ich postaci, po czym znowu pogrążali się w mroku. Jej nieco serce biło, bo oto pozostali pierwszy raz sam na sam, ale jego spokój i słodycz uspokajały i ją także. Weszli na koniec na ganeczek, umieszczony w prawej ścianie kościelnej, już za stallami, nieopodal wielkiego ołtarza.
Naprzód klękli i poczęli się modlić. Kościół był cichy i pusty. Dwie świece paliły się przed wielkim ołtarzem, jednak cała ta głębsza część nawy pogrążona była w uroczystym półcieniu. Tylko od szyb tęczyowych wchodziły blaski rozmaite i padały na te dwie precudne twarze pogrążone w modlitwie, spokojne, podobne do twarzy cherubinów. Ketling patrzył na nią w milczeniu; zrobiła się cisza prawdziwie kościelna. Po czym obsunął się z wolna do nóg Krzysinych i tak mówić począł głosem wzruszonym, lecz spokojnym:
— Nie grzech to, że w świętym miejscu przed tobą klękam, bo gdzież, jeśli nie do kościoła, czysta miłość po błogosławieństwo przychodzi. Miłuję cię więcej niż zdrowie, miłuję cię nad wszelkie dobro ziemskie, miłuję cię duszą, miłuję cię sercem i tu, wobec tego ołtarza, miłość ci moją wyznawam!

Ksiądz Kamiński, za młodych lat żołnierz i kawaler wielkiej fantazji, siedział pod starość w Uszycy i parafię restaurował. Ale że kościół był w zgliszczach, a parafian brakło, zajeżdżał ów proboszcz bez owieczek do Chreptiowa i po całych tygodniach tam przesiadując, rycerstwo pobożnymi naukami budował.

Wysłuchawszy więc z uwagą opowieści pana Muszalskiego, w kilka wieczorów później tak ozwał się do zgromadzonych:

— Lubilem ja zawsze słuchać takowych opowiadań, w których żalosne przygody szczęśliwy swój koniec mają, gdyż widoczna z nich, że kogo boża ręka piastuje, tego z łowczych obieży wyzuć każdego czasu potrafi (...).

Dlatego niech każdy z waściów raz na zawsze to sobie zakonotuje, iż dla Pana Boga nie masz nic niepodobnego, i niechże w najcięższych nawet terminach ufności w jego miłosierdzie nie traci. Ot, co jest!

Chwali się to panu Muszalskiemu, że prostego człeka braterską miłością pokochał. Przykład tego dał nam sam Zbawiciel, który z królewskiej krwi pochodząc, przecie prostaków (skromnych ludzi) kochał, wielu z nich apostołami mianował i do promocji im dopomógł, tak że owi teraz w senacie niebieskim zasiadają.

Lecz co inszego jest miłość prywatna, a co inszego generalna jednej nacji ku drugiej, którą to generalną pan nasz Zbawiciel nie mniej pilnie obserwować nakazał. A gdzie ona? Kiedy, człeku, rozglądniesz się po świecie, to taka wszędy zawziętość w sercach, jakoby ludzie diabelskich, nie boskich przykazań słuchali.

Ja (Sobieski) jest hetman nie tylko polski, ale chrześcijański; bo na straży krzyża stoję! Na Boga! Jeśli nas zguba czeka, jeśli imię nasze ma być imieniem zmarłych, nie żyjących, to niechże sława po nas ostanie i wspominek onej służby, którą nam Bóg wyznaczył; niechże potomni patrząc na one krzyże i mogiły powiedzą: „Tu chrześcijaństwa, tu krzyża przeciw mahometańskiej sprośności, póki tchu w piersi, póki krwi w żyłach bronili i za inne narody polegli”. To służba nasza! Otośmy forteca, w której Chrystus mękę swoją zatknął na murze, a ty mnie prawisz, abym ja, żołnierz boży, ba, komendant, pierwszy bramę otwierał i pogan jako wilków do owczarni puszczał, i Jezusowe owieczki na rzeź wydawał?! (...)

W stosunkach, w których człowiek człowiekowi był wilkiem, bez kościołów, wiary, bez innych przykładów, jak przykłady mordy i pożogi, nie znając innego prawa nad pięść, wyzbyli się wszelkich uczuć ludzkich i zdzicześli na podobieństwo zwierza leśnego.

Pana Zagłobę szczególnie zaniepokoił ów ruch rąk (Basi) na kołdrze, bo w jego beświadomej jednostajności widział oznakę zbliżającej się śmierci. Człek był doświadczony i wielu ludzi umierało w jego oczach, lecz nigdy serce nie krajało mu się takim żalem, jak na widok tego kwiatka więdnącego tak wcześnie.

Więc zrozumiawszy, że Bóg jeden może uratować to gasnące życie, klęknął przy łożu i począł modlić się żarliwie.

(...) Wkrótce ozwał się dzwonek: przyjechał ksiądz Kamiński.

Gdy wszedł, przybrany w białą komżę, oficerowie poklękali. Zdało się wszystkim, że nastąpiła uroczysta chwila, po której niewątpliwie śmierć musi nadejść. Chora nie odzyskała przytomności, więc ksiądz nie mógł jej spowiadać.

Dał jej tylko ostatnie namaszczenie, po czym zaczął małego rycerza pocieszać i namawiać, by poddał się woli bożej. Atoli temu nic było po tej pociesze, bo żadne słowa nie mogły przez jego boleść przeniknąć.

Przez cały dzień śmierć krążyła nad Basią. (...)

(Wołodyjowski) pytał się jednakże siebie ustawicznie:

„Jakże to ja mam zostawać, kiedy ona odchodzi? Jakże mi puszczać samo to kochanie najdroższe? Co ona powie, gdy obejrzawszy się tam za mną, nie znajdzie mnie koło siebie”.

I tak rozmyślając pragnął umrzeć z nią razem ze wszystkich sił duszy, bo równie, jak sobie nie wyobrażał życia na ziemi bez niej, tak samo nie rozumiał, aby ona w tamtym życiu mogła być szczęśliwą bez niego i za nim nie tęsknić.

Po południu (...) rumieńce Basi przygasły i gorączka zmniejszyła się do tyła, że chorej wróciło nieco przytomności.

Zdrowieje moja Baśka jedyna, zdrowieje! I rzucał się do jej rąk (Wołodyjowski), a czasem całował te biedne, małe stopki, które tak walecznie brnęły przez śniegi głębokie do Chreptiowa, słowem, kochał ją i czcił nadzwyczajnie. Czuł się też okrutnie dłużnym Opatrzności i pewnego razu rzekł wobec pana Zagłoby i oficerów:

— Chudym pacholek, ale choćbym miał ręce do łokci urobić, jużże się przecie na kościółek, bogdaj drewniany, zdobędę. Bo ile razy w nim dzwony zadzwonią, tyle razy wspomnę miłosierdzie boskie i dusza zgoła rozplynie się we mnie z wdzięczności! (...)

Basia wraz ze zdrowiem odzyskiwała i humor. W dwa tygodnie później kazała odchylić nieco wieczorem drzwi do alkierza i gdy oficerowie zebrali się w świetlicy, ozwała się do nich swym srebrzystym głosem:

— Dobry wieczór waćpanom! Już nie zamrę, aha!

— Bogu Najwyższemu dzięki! — odpowiedzieli chórem żołnierze.

— Sława Bohu, detyno myłenkaja! — zawołał osobno pan Motowidło, który szczególniej ojcowskim afektem Basię kochał, a który w chwilach wielkiego wzruszenia zawsze mówił po rusińsku.

— Patrzcie, waćpanowie — mówiła dalej Basia — co to się stało! Kto by się był tego spodziewał? Szczęście, że się jeszcze tak skończyło!

— Bóg czuwał nad niewinnością — ozwał się znów chór przeze drzwi.

Gdy chrześcijańskie nacje ze sobą wojują — mówił Wołodyjowski — i Pan Jezus smutny, i wszyscy święci się w głowę skrobą, bo tak zwykle bywa, że gdy frasobliwy pan, frasobliwa i czeladź (...).

Nazajutrz wielkie było w katedrze kamienieckiej nabożeństwo. Słuchali go (księdza) w skupieniu i podniosłości ducha rycerze, szlachta, żołnierstwo i lud pospolity. Pan Wołodyjowski z Ketlingiem leżeli krzyżem przed ołtarzem; Krzysia i Basia klęczały tuż za stallami, płacząc, bo wiedziały, iż ślub ów na niebezpieczeństwo życie ich mężów podać może. Po ukończeniu mszy ksiądz biskup obrócił się do ludu z monstrancją; wówczas mały rycerz wstał i klękawszy na stopniach ołtarza, tak rzekł wzruszonym, choć spokojnym głosem:

— Za osobliwe dobrodziejstwa i szczególniejszą protekcję, jakąm ja od Pana Boga Najwyższego i Syna Jego Jedynego otrzymał, do również szczególniejszej poczuwając się wdzięczności, ślubuję i poprzysięgam, iż jako On i Syn Jego mnie wspomogli, tako i ja do ostatniego tchu Krzyża świętego będę bronił. (...) choćby mi też pod gruzami pogrześć się przyszło... Tak mi dopomóż Bóg i święty Krzyż — Amen!

Cisza uroczysta nastąpiła w kościele, po czym dał się słyszeć głos Ketlinga:

— Ślubuję — rzekł ów — za szczególne dobrodziejstwa, których w tej ojczyźnie doznałem, do ostatniej kropli krwi zamku bronić i pierwej się pod gruzami jego pogrześć, zanim by noga nieprzyjacielska miała w jego mury wstąpić. A jako ze szczerego serca i szczerzej wdzięczności przysięgę ową składam, tako mi dopomóż Bóg i święty Krzyż — Amen!

Tu ksiądz biskup pochylił monstrancję i dał ją do ucałowania naprzód panu Wołodyjowskiemu, potem Ketlingowi. Na ów widok liczni rycerze uczynili gwar w kościele. Rozległy się głosy:

— Wszyscy przysięgamy! Jeden na drugim polegniem! Nie upadnie ta twierdza! Przysięgamy! Przysięgamy! Amen! Amen! Amen!

Szable i rapiery wyszły ze zgrzytem z pochew i w kościele uczyniło się jasno od stali. Blask ów rozświetlił groźne twarze, rozpalone oczy i zapal wielki, niewypowiedziany ogarnął szlachtę, żołnierzy, lud.

Wtem uderzono we wszystkie dzwony, huknął organ, ksiądz biskup zaintonował: *Sub Tuum praesidium* (Pod Twoją obronę) — sto głosów zabrzmiało mu w odpowiedzi — i tak modlono się za twierdzą, która była strażnicą chrześcijaństwa i kluczem Rzeczypospolitej.

Po ukończonym nabożeństwie Ketling z Wołodyjowskim wyszli z kościoła. Żegnano i błogosławiono ich po drodze, bo nikt nie wątpił, że pierwiej polegna, nim zamek oddadzą. (...) a gdy wreszcie Wołodyjowski znalazł się w klasztorze przy żonie (...) ozwał się dla uspokojenia kochanej nad wszystko niewiasty:

— A pamiętasz, jak mi cię Pan Bóg wrócił, com powiedział? Powiedziałem tak: „Na jaką mnie, Panie Boże, kontentację stać, taką ci obiecuję. Po wojnie, jeśli ostanę żyw, kaplicę będę erygował, ale czasu wojny muszę czegoś znacznego dokazać, aby cię niewdzięcznością nie nakarmić!” Co tam zamek! Mało i tego za takowe dobrodziejstwo! Przyszła pora! Zali godzi się, aby Zbawiciel powiedział sobie: „Obiecanka cacanka”? Niechby mnie wprzód kamienie zamkowe potłukły, nim bym miał kawalerski parol Bogu dany złamać! Trzeba, Baśka! — i cała rzecz!... Bogu, Baśka, ufajmy!...

Nastala chwila milczenia, którą przerwał mały rycerz (Wołodyjowski):
— Baśka! — rzekł — słuchaj no, Baśka!

— Co, Michałku?

— Bo prawdę rzekłszy, okrutnie nam dobrze ze sobą i tak myślę, że gdyby jedno z nas poległo (w twierdzy kamienieckiej), to by drugie bez miary tęskniło.

Basia doskonale zrozumiała, że mały rycerz mówiąc: „gdyby jedno z nas poległo” zamiast: „umarło” — siebie miał na myśli. Przyszło jej do głowy, że on może nie spodziewa się wyjść żywym z tego oblężenia (tureckiego), że chce ją oswoić z tym terminem, więc straszne przecucie ścisnęło jej serce i złożywszy ręce rzekła:

— Michale, miej miłosierdzie nad sobą i nade mną!

Głos małego rycerza był nieco wzruszony, choć spokojny.

— A widzisz, Baśka, że nie masz słuszności — rzekł — bo tak wzięwszy tylko na rozum, cóż to jest to życie doczesne? Przez co tu kark kręcić? Komu tu będzie dostatkem smakować szczęśliwość i kochanie, kiedy wszystko kruche jako zeschnięta gałąź, co?

Lecz Basia poczęła się trząść z płaczu i powtarzać:

— Nie chcę, nie chcę, nie chcę!

— Jak mi Bóg miły, tak nie masz słuszności — powtórzył mały rycerz. — Ot, uważasz, tam w górze, za onym cichym miesiącem, jest kraina wiekuistej szczęśliwości. O takiej to mi gadaj! Kto się na tamtą lewadę dostanie, ten dopiero sobie odsapnie, jakby po długiej drodze — i pasie się spokojnie. Jak na mnie termin przyjdzie (a to przecie żołnierska rzecz), zaraz sobie powinnaś powiedzieć: „Nic to!” Po prostu powinnaś sobie powiedzieć: „Michał odjechał, prawda, że daleko, dalej jak stąd na Litwę, ale nic to! Bo i ja za nim podążę”. Baśka, no, cicho, nie płacz! Które pierwsze odjedzie, to drugiemu kwaterę przygotowuje — i cała sprawa.

Tu przyszło na niego jakby widzenie rzeczy przyszłych, bo oczy podniósł ku miesięcznemu blaskowi i tak dalej mówił:

— Co to doczesność! Dajmy, że ja już tam będę, aż tu ktoś puka do niebieskich podwoi. Święty Piotr otwiera; patrzę ja: kto? Moja Baśka! Rety! O! To dopiero skoczę! O! To dopiero zakrzyknę! Miły Boże! Słów w gębie brak! I nie będzie płakania, jeno wieczne wesele, i nie będzie pogan ni armat, ni min pod murami, jeno spokój i szczęśliwość! Ej, Baśka, pamiętaj: nic to!

— Michale, Michale! — powtarzała Basia.

I znowu nastąpiła cisza, przerywana tylko odległym monotonnym dźwięczeniem kilofów.

Wreszcie Wołodyjowski ozwał się:

— Baśka, zmówimy sobie teraz pacierz.

I te dwie dusze, czyste jak łzy, poczęły się modlić. W miarę jak odmawiali pacierze, spływał na oboje spokój, a potem zmorzył ich sen i usnęli aż do pierwszego brzasku.

Ów (Wołodyjowski) sprawiwszy wojsko (wycofywał wojsko z twierdzy Okamienieckiej przed wysadzeniem jej w powietrze) przywołał pana Muszalskiego i rzekł mu:

— Stary przyjacielu, oddajże mi jedną przysługę: idź zaraz do żony mojej i powiedz jej ode mnie...

Tu głos uwiązał na chwilę w gardle małemu rycerzowi.

— I powiedz jej ode mnie: Nic to! — dodał prędko.

Łucznik odszedł. Za nim wychodziło powoli wojsko.

Wołodyjowski siadł na konia i czuwał nad wymarszem. Zamek opróżniał się, ale marudnie, z przyczyny zawadzającego gruzu i złamów.

Ketling zbliżył się do małego rycerza.

— Schodzę! — rzekł zaciskając zęby.

— Idź, jeno zwlecz, póki wojsko nie wyjdzie... Idź!...

Tu wzięli się w ramiona i przez pewien czas tak trwali. Oczy obydwom błyszczały nadzwyczajnym światłem... Ketling skoczył wreszcie w kierunku lochów...

Wołodyjowski zaś zdjął hełm z głowy; chwilę spoglądał jeszcze na tę ruinę, na to pole chwały swojej, na gruzy, trupy, odłamy murów, na wał i na działa, następnie podniósłszy oczy w górę, począł się modlić...

Ostatnie jego słowa były:

— Daj jej, Panie, moc, by zaś cierpliwie to zniosła, daj jej spokój!...

Ach!... Ketling pospieszył się, nie czekając nawet na wyjście regimentów, bo w tej chwili zakołysały się bastiony, huk straszliwy targnął powietrzem: blanki, wieże, ściany, ludzie, konie, działa, żywi i umarli, masy ziemi — wszystko to porwane w górę płomieniem, pomieszane, zbite jakby w jeden straszliwy ładunek, wyleciało w powietrze...

Tak zginął Wołodyjowski, Hektor Kamieniecki, pierwszy żołnierz Rzeczypospolitej.

Wkolegiacie stanisławowskiej stał na środku kościoła wysoki katafalk rzeźbiście obstawiony świecami, a na nim leżał w dwóch trumnach, ołowianej i drewnianej, pan Wołodyjowski. Wieka były już zabite i właśnie odprawiano pogrzeb. Życzeniem serdecznym wdowy było, by ciało spoczęło w Chreptiowie, lecz że całe Podole było w rękach nieprzyjacielskich (tureckich), więc tymczasowo miano je pochować w Stanisławowie, do tego bowiem miasta odesłani zostali pod konwojem tureckim kamienieccy exulesi tu wydani w ręce wojsk hetmańskich.

Wszystkie dzwony były w kolegiacie. Kościół zapełniony był tłumem szlachty i żołnierzy, którzy ostatni raz chcieli rzucić okiem na trumnę Hektora Kamienieckiego i pierwszego Rzeczypospolitej kawalera. Szeptano, że sam hetman ma na pogrzeb przyjechać, że jednak nie było go dotąd widać, a lada chwila mogli nadejść czambułem Tatarzy, przeto postanowiono nie odkładać ceremonii.

Starzy żołnierze, przyjaciele lub podkomendni nieboszczyka, stanęli wieńcem około katafalku. (...) Dziwnym trafem nie brakło prawie nikogo z tych, którzy niegdyś zasiadali wieczorami ławy przy ognisku chreptiowskim; wszyscy wynieśli cało głowy z tej wojny, tylko ów, który im był wodzem i wzorem, ów rycerz dobry i sprawiedliwy, straszny dla nieprzyjaciół, słodki dla swoich, tylko ów, szermierz nad szermierze z sercem gołębia — leżał oto wysoko, wśród światła, w chwale niezmiernej, ale w ciszy śmierci.

Zatwardziałe przez wojnę serca kruszyły się z żalu na ów widok; żółte błyski od świateł oświecały srogię, strapione twarze wojowników i odbijały się błyszczącymi skrami we łzach płynących z oczu. W środku żołnierskiego koła leżała krzyżem na podłodze Basia, a obok niej stary, zniedołężniały, złamany i trzęsący się pan Zagłoba. Ona przyszła tu piechotą z Kamieńca za wozem wiozącym najdroższą trumnę, a teraz właśnie przyszła chwila, że trzeba było tę trumnę oddać ziemi. Przez całą drogę idąc nieprzytomna, jakby nie do tego świata należąca — i teraz, przy tym katafalku, powtarzała bezświadomymi ustami: „Nic to!” — powtarzała, bo tak jej kazał ten ukochany, bo to były ostatnie wyrazy, które jej przesłał; ale w tym powtarzaniu i w tych wyrazach były tylko dźwięki bez treści, bez prawdy, bez znaczenia i otuchy. Nie „nic to” było — jeno żal, ciemność, rozpacz, martwota, jeno nieszczęście niepowrotne, jeno życie zabite i złamane, jeno błędna świadomość, że już nie ma nad nią ni miłosierdzia, ni nadziei, a jest tylko pustka i będzie pustka, którą wypełnić może jeden Bóg, kiedy śmierć ześle.

Dzwony biły; u wielkiego ołtarza kończyła się msza. Na koniec zabrzmiał wysoki, jakby z otchłani wołający głos księdza: „*Requiescat in pace!*” Drgania febryczne wstrząsnęły Basią, a w nieprzytomnej głowie zerwała się tylko jedna myśl: „Już, już mi go zabiorą!...” Lecz nie był to jeszcze koniec ceremonii. Ksiądz, Rycerstwo przygotowało liczne mowy, które miały być wypowiedziane przy spuszczeniu trumny w dół, tymczasem zaś wyszedł na ambonę ksiądz Kamiński, ten sam, który dawniej w Chreptowie często przesiadywał i który w czasie choroby Basi na śmierć ją dysponował.

W kościele poczęli ludzie chrząkać i kasłać, jako zwykle przed kazaniem, po czym ucichli i wszystkie oczy zwróciły się na ambonę.

Wtem z ambony ozwało się warczenie bębna.

Zdumieli się słuchacze. Ksiądz Kamiński zaś bił w bęben, jakby na trwogę; nagle urwał i nastąpiła cisza śmiertelna. Po czym warczenie ozwało się po raz drugi, trzeci; nagle ksiądz Kamiński cisnął pałeczki na podłogę kościelną, podniósł obie ręce w górę i zawołał:

— Panie pułkownika Wołodyjowski!

Odpowiedział mu krzyk spazmatyczny Basi. W kościele uczyniło się po prostu straszno. Pan Zagłoba podniósł się i na wspólnie z panem Muszalskim wynieśli omdlałą niewiastę z kościoła.

Tymczasem ksiądz wołał dalej:

— Dla Boga, panie Wołodyjowski! *Larum* grają! Wojna! Nieprzyjacieli w granicach! A ty się nie zrywasz! Szabli nie chwytasz? Na koń nie siadasz? Co się stało z tobą, żołnierzu? Zaliś swej dawnej przepomniał cnoty, że nas samych w żalu jeno i trwodze zostawiasz?

Wezbrały rycerskie piersi i płacz powszechny zerwał się w kościele, i zrywał się jeszcze kilkakrotnie, gdy ksiądz cnotę, miłość ojczyzny i męstwo zmarłego wysławiał, a i kaznodzieję porwały własne słowa. Twarz mu pobladła, czoło okryło się potem, głos drżał. Uniósł go żal nad zmarłym rycerzem, żal nad Kamieńcem, żal nad zgnębianą rękoma wyznawców księżycy Rzeczpospolitą, i taką wreszcie kończył swoją mowę modlitwą:

— Kościoły, o Panie, zmieniają na meczety i Koran śpiewać będą tam, gdzieśmy dotychczas Ewangelię śpiewali. Pograżyłeś nas, Panie, odwróciłeś od nas oblicze Twoje i w moc sprośnemu Turczynowi nas podałeś. Niezbadane Twoje wyroki, lecz kto, o Panie, teraz opór mu stawi? Jakie wojska na kresach wojować go będą? Ty, dla którego nic nie jest w świecie zakryte. Ty wiesz najlepiej, że nie masz nad naszą jazdę! Która ci, Panie, tak skoczy, jako nasza skoczyć potrafi? Takichże obrońców się pozbywasz, za których plecami całe chrześcijaństwo mogło wysławiać imię Twoje? Ojczy dobrotliwy! Nie opuszczaj nas! Okaż miłosierdzie Twoje! Ześlij nam obrońcę, ześlij sprośnego Mahometa pogromcę, niech tu przyjdzie, niech stanie między nami, niech podniesie upadłe serca nasze, ześlij go, Panie!...

W tej chwili rum uczynił się przy drzwiach i do kościoła wszedł pan hetman Sobieski. Oczy wszystkich zwróciły się na niego, dreszcz jakiś wstrząsnął ludźmi, a on szedł z brzękiem ostróg ku katafalkowi, wspaniały, z twarzą rzymskiego cezara, ogromny...

Zastęp żelaznego rycerstwa szedł za nim.

— *Salvator!* — krzyknął w proroczym uniesieniu ksiądz.

A on klęknął przy katafalku i począł się modlić za duszę Wołodyjowskiego.

Pan Sobieski pojawił się w wałach (Chocim). Zorza nie było tego dnia na niebie, ale zorza była w jego twarzy, bo gdy zmiarkował, iż nieprzyjaciel (armia turecka) chce mu wydać bitwę w obozie, już był pewien, że dzień ten straszliwą klęskę Mahometowi przyniesie. Więc jeździł od pułku do pułku powtarzając: „Za kościoły pohańbione! Za bluźnierstwa Najświętszej Pannie w Kamieńcu! Za krzywdy chrześcijaństwa i Rzeczypospolitej! Za Kamieniec!” Żołnierze zaś spoglądali groźnie, jakby chcąc mówić: „Ledwie już stoim! Puść, wielki hetmanie, a obaczysz!” Białe i szarawe światło poranku stawało się z każdą chwilą jaśniejsze; z tumanu wychylały się coraz wyraźniej szeregi łbów końskich, postacie ludzkie, kopie, proporce, wreszcie regimenta piechoty. Naprzód też one poczęły poruszać się i płynęły we mgle ku nieprzyjacielowi jakby dwiema rzekami po bokach jazdy; potem ruszyła lekka jazda zostawując tylko środkiem szeroki szlak, którym w chwili stosownej miała skoczyć husaria.

Polskie wojska wpadły w tak wielki zapał bojowy, że jeszcze nie odsapnąwszy dobrze po bitwie, Chocim zdobyły. W samym obozie łupy wzięto niezmiernie. Sto dwadzieścia dział, a z nimi trzysta chorągwi i znaków przesłał hetman wielki z owego pola, na którym po raz już drugi w ciągu wieku szabla polska święciła tryumf znamienity.

Sam pan Sobieski stanął w kapiącym od złota i bisiorów namiocie Husseina-baszy i z niego wieści o szczęśliwym zwycięstwie na wszystkie strony przez lotnych gońców rozsyłał. Za czym zebrały się jazda i piechota, wszystkie chorągwie polskie, litewskie i kozackie, całe wojsko stanęło w bojowej sprawie. Odprawiano dziękczynne nabożeństwo — i na tym samym majdanie, na którym jeszcze dnia wczorajszego muezinowie wykrzykiwali: „Lacha il Allach!” — brzmiała pieśń: *Te Deum laudamus*. (Ciebie Boga wysławiamy)

Hetman słuchał mszy i pieśni krzyżem leżąc, a gdy powstał, łzy radości ciekły mu po dostojnym obliczu. Na ów widok zastępy rycerstwa, nie otarte jeszcze z krwi, drżące jeszcze z wysilenia po bitwie, wydały po trzykroć gromki okrzyk:

— *Vivat Joannes victor!!!* (Niech żyje Jan zwycięzca)

A w dziesięć lat później, gdy majestat króla Jana III obalił w proch potęgę turecką pod Wiedniem, okrzyk ów powtarzano od mórza do mórza, od gór do gór, wszędy po świecie, gdzie tylko dzwony wołały wiernych na modlitwę...